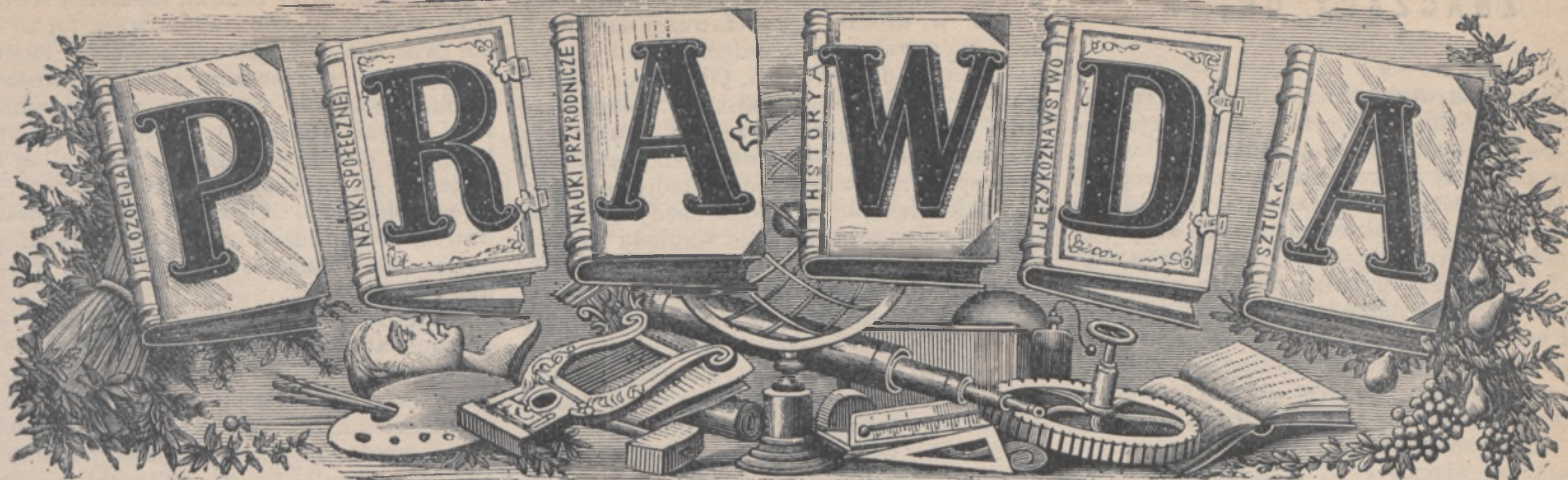
№ 12. Warszawa, dnia 22 (10) Marca 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szanownych abonentów naszych z prowincyi prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty kwartalnej, o ile można, bezpośrednio do administracyi naszej. Droga ta najpewniej zapobiega opóźnieniom i przerwom w odbiorze pisma.

„CHWILA ZŁEGO HUMORU."

P. Gawalewicz, autor drobnych, usceniozowanych niesnasek i dąsów, kończących się serdecznymi uściskami, dostrzegł zapewne w ostatniej fazie stosunków politycznych Austryi wyborny temat dla siebie. Koło polskie, owo najwytrwalsze, najcierpliwsze, toczące się, choć niesmarowane koło autonomistycznego wozu odmówiło posłuszeństwa rządowym furmanom i stanęło uparcie. Z większem zdziwieniem niż obawą telegraf z Wiednia rozniósł w niedługim promieniu wiadomość, że służebnica galicyjska zbuntowała się. Już chyba pan targnął się na ostatnią jej cnotę — mówili jedni; wyczerpał jej cierpliwość — twierdzili drudzy; zranił najczulszą jej strunę— szeptali inni. Dla usunięcia dręczącej niepewności, przytoczymy objaśnienie najlepiej poinformowanego *Czasu*. „Spytacie zapewne — powiada on — skąd się naraz wziął ów kwas i zły humor w Kole? Trudna na to pytanie odpowiedź, bo w życiu politycznem często na jeden, jakkolwiek drobny skutek kilka przyczyn się składa. *Najgłówniejszą* jednak, a przynajmniej *najwidoczniejszą* jest znana wam sprawa gorzelni rolniczych, sprawa, która *do tego stopnia* rozjątrzyła umysły, iż dają się słyszeć głosy, i to głosy poważne, bardzo poważne, że należy przeciw całej ustawie głosować, jeżeli rząd i większość nie przystaną na to, żeby większe galicyjskie gorzelnie pozostawione były przy dotychczasowem, ryczałtowem opodatkowaniu." A więc ową czułą struną są gorzelnie! Ani wydarcie kilku milionów złr. indemnizacyi, ani należytości skarbowe, ani kwestya zarządu kolei, ani cały szereg olbrzymich strat i niepowodzeń nie zdołał tak zranić serca deputacyi galicyjskiej, jak jedna, przez kapelanów stańczykowstwa przecież potępiona—gorzałka.

Mniejsza wreszcie o „najgłówniejszą," a przynajmniej „najwidoczniejszą" przyczynę—dość, że Koło polskie postanowiło dowieść rządowi, że nietylko toczyć się, ale i stawać umie. Była to wszakże tylko—jak zapewnia *Czas* — „chwila złego humoru." Ten zuchwały zamiar, zanim przestraszył monarchię austryacką, tak przeraził swych autorów, że dziś jeszcze zacierają oni wszelkie ślady swegu buntu. Przy obradach nad budżetem nie miał nikt ze strony polskiej przemawiać — dla uwydatnienia demonstracyi—tymczasem przemawiał hr. Dzieduszycki i z takim zapałem bronił rządu, jak gdyby o rozwodzie nigdy nie myślano. A może groźbą wyjednano ustępstwa? Czytajmy ostatnie (wtorkowe) telegramy: „Deputacya galicyjska w sprawie uzyskania od rządu zwrotnej zaliczki 1 miliona zł. dla dobrowolnego przeprowadzenia likwidacyi lwowskiego banku włościańskiego *czyni usilne zabiegi*. Popiera ona swe żądanie tym argumentem, że dobrowolna likwidacya leży w interesie zarówno kraju, jak państwa, a nadto, iż rząd jest obowiązany do pomocy, gdyż jego komisarze, dozorujący czynności banku, są w znacznej części winnymi klęski. Wskutek ich bowiem nierozwagi uzdrowienie (!) stosunków przez bank wytworzonych zostało podjętem dopiero po wybuchu katastrofy, którą oddawna można było przewidzieć." Dalej: „Cesarz przyjął nader łaskawie deputacyę; *mimo to* nie ma nadziei pomocy, ponieważ rząd jest *skrępowany* (?). Wreszcie: „Losy przedstawienia, dotyczącego indemnizacyi galicyjskiej, są zagrożone, ponieważ dr. Lienbacher oświadcza się przeciw załatwieniu tej sprawy na korzyść Galicyi. W najlepszym razie większość za ustępstwami może wynosić jeden lub dwa głosy. *Sytuacya krytyczna*." Owa to „krytyczna sytuacya" jest zawsze — jak powiadają niemcy —„wymalowanym na ścianie dyabłem," który z serc posłów galicyjskich wypędza resztki odwagi. Ile razy oni tylko poczują brak cierpliwości i zaczną gniewnie przygryzać sobie usta, w tej chwili ministerrodak rozbraja ich uwagą, że „sytuacya jest krytyczną" i że trzeba czekać stosowniejszej pory. Co do nas, ani tej, ani jej podobnych gróźb nie bierzemy nigdy tragicznie, i chociażby nas telegraf sto razy dziennie usiłował przerazić, nie stracimy wiary w nierozerwalność małżeństwa między delegacyą galicyjską i rządem austryackim, nawet wtedy, gdy on — jak niewdzięczny mąż — swoją żonę okpiwa, głodzi lub też turbuje. Między niemi mogą zachodzić tylko „chwile złego humoru" a mniemane walki nie usnują wątku dla Shakespeare'a, lecz co najwyżej dla p. Gawalewicza. Będą to zawsze waśnie kochającej się pary, w której jedna strona czasem nosek zakrzywi i nawet zapłacze, ale druga prostem pogłaskaniem ją uspokoi.

Ten stosunek nastraja nietylko do żartu. Lwowska *Gazeta Nar.* wystąpiła niedawno z kamieniami przeciwko Kołu polskiemu za jego niedbałość względem kraju, żądając, ażeby „zły humor" zastąpiła poważna opozycya. Wątpimy wszakże, czy już dziś kto owo żądanie pamięta. Galicya jest krajem, w którem krzyczeć wolno dłużej zapewne, że nikt najuroczystszych wołań nie słucha. Tam swoboda słowa rządowi nigdy nie zaszkodzi.

ZNACZĄCY OBJAW.

Niejednokrotnie zaznaczaliśmy już w *Prawdzie* pogłoski o zamierzonem międzynarodowem współdziałaniu rządów w walce z propagandą anarchiczno-rewolucyjną.

Wiadomości te, nacechowane zwykle półurzędowym charakterem, zasługiwały na zupełną wiarogodność, zwłaszcza, że poniekąd nawet stwierdzone zostały pojedynczymi faktami. Ale od początku widocznem już było, że państwa nie myślą ograniczyć się tylko do odpornej działalności, że policyjna represya nie jest jedynym ich celem. Ów sojusz żywiołów zachowawczych, w imię społecznego porządku zawarty, o którym pisano tyle, najprzód z powodu zbliżenia się Niemiec i Rosyi z Watykanem, później zaś z powodu nowych przymierzy, świadczy o tem. Nieujęte w ramki rzeczywistości, nieokreślone bliżej widmo odrodzonego „świętego przymierza“ dostarczyło już niemało tematów do rozpraw dziennikarskich. Nie o to jednak wcale nam idzie w danej chwili; pragniemy tylko zwrócić uwagę czytelnika, że już od początku porozumienia się mocarstw represya uznaną była za niewystarczającą i że już wtedy pomyślano o zbiorowej, czynnej działalności, nieujętej dotąd w widoczne kształty a więc i zagadkowej trochę co do swego celu i charakteru. Klucz do rozwiązania tej zagadki przynosi nam rozesłany przez agencye telegraficzne komunikat, pochodzący bezwątpienia z dobrze powiadomionego o tej sprawie źródła.

Zawiadomienie, o którem mowa, głosi, że sprawa wspólnego wystąpienia rządów przeciw anarchicznym dążeniom rewolucyjnych stronnictw ostatecznie została rozstrzygniętą i uporządkowaną. Porzucono myśl wydania międzynarodowych praw, mających na celu ściganie członków partyi przewrotu społecznego: sprawę tę uznano nie za polityczną, lecz za policyjno-karną i odpowiednie władze wszystkich państw porozumiały się co do wzajemnego dopomagania sobie. Równocześnie jednak kwestya socyalna uznaną została jako przedmiot wspólnej, publicznej działalności mocarstw. Wszystkie rządy wymieniły pomiędzy sobą noty, oświadczające, że każdy z nich w drodze prawodawczej dążyć będzie wytrwale do usunięcia istniejących społecznych dolegliwości. Określone nawet zostały zasadnicze podstawy organizacyi pomocy państwowej i wytknięte granice samopomocy pewnych. uznanych grup społecznych. Co więcej, podjęcie w tym kierunku działalności przez każdy z rządów przyznano za konieczne ze względu na wymagania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Oświadczenie to dla każdego z państw ma być równoznaczne prawnemu zobowiązaniu. Wreszcie, jakby dla uspokojenia opinii publicznej, strwożonej słusznie pogłoskami o nastaniu ery powszechnego cofania się, dodano, że poza wskazane wyżej granice porozumienie międzynarodowe nigdy nie przekroczy.

Z ogólnikowych wyrażeń komunikatu przesądzać nie można, czy i o ile działalność zbiorowa państw okaże się w danym razie skuteczną (sprawę represyi pomijamy, jako nie interesującą nas obecnie). Ani zakres reform, ani sposoby ich wykonania nie są bliżej określone. Zresztą rzecz to tak doniosła, tak niewyjaśniona i powikłana jeszcze, że w pobieżnym artykule dziennikarskim ani jej wyczerpać, ani nawet należycie ocenić niepodobna. Dotychczasowe usiłowania niektórych państw w tym kierunku nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, ale na niepowodzenie złożyło się wiele przyczyn, niebędących z reformami społecznemi w bezpośrednim związku. Oprócz jednak tych wątpliwości, których ogólnikowe orzeczenie nie rozstrzyga, znajdujemy w treści komunikatu wyznanie niezmiernej wagi, która w przyszłości dopiero ocenioną być może. Jest to otwarte przyznanie bez półsłówek i zastrzeżeń, że kwestya socyalna nietylko istnieje, ale i że jedynie reformami gruntownemi, podjętemi przez państwo, rozwiązaną być może. Mniemaniu o doskonałości istniejącego ustroju społecznego zadany został ciężki cios ze strony, która w znacznej mierze zainteresowana jest w utrzymaniu stosunków dotychczasowych. Jest to pierwszy krok na drodze do budowy na nowych podstawach; inna rzecz, czy istota zmian i ich granice okażą się wystarczającemi. Z pewnością wymagania życia do gruntu nieraz zmienią charakter reform, rozszerzą ich zakres, wskażą lepsze i właściwsze formy — ale ważnem jest, że raz położoną została podwalina, stwierdzony fakt, określona zasada. Faktem tym jest nienormalność istniejących stosunków ekonomiczno-społecznych, zasadą — potrzeba radykalnej ich zmiany, za inicyatywą państwa i przy jego współudziale. Oświadczenie dopuszcza nawet współudział grup społecznych, rozumie się, kontrolowanych przez władzę państwową.

Niemniej znaczącą jest okoliczność, że podjęcie akcyi w tym kierunku uznano za ogólną międzynarodową sprawę. Jest to znowu milczące stwierdzenie prawdy, wygłoszonej już dawno ustami koryfeuszów nowej nauki, że przyczyna dolegliwości socyalnych kryje się nie w tych lub owych politycznych warunkach, lecz w wadliwości powszechnie istniejącej organizacyi społecznej...

Partya rewolucyjna zrozumiała tę międzynarodową solidarność interesów klas pracujących i na sztandarze swym wypisała hasło: „proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!“ W odpowiedzi zwolennikom gwałtownego przewrotu wystawiają dziś międzynarodową łączność pokojowych reform. Rzeczywiście prosta logika wskazuje, że jakąkolwiek drogą uskutecznioną będzie zmiana istniejących stosunków ekonomicznych, musi być ona w zasadzie powszechną. Warunki miejscowe wpłynąć mogą tylko na formy, w jakich ona się ujawni, ale nie mogą przeinaczyć jej istoty.

Nie wiemy, co czas niesie nam w zanadrzu, przewidywać nawet nie potrafimy, w jakie kształty odleje się ów nowy prąd. Nieuzasadnionemi w tym razie byłyby zbyt różowe oczekiwania zarówno jak i beznadziejny pesymizm. Zaznaczamy tylko i podkreślamy raz jeszcze, że już nie z inicyatywy jednego, bodaj najgenialniejszego męża stanu, ale w głębokiem przeświadczeniu wszystkich rządów przyznany został palący charakter kwestyi socyalnej i wskazane środki jej rozwiązania. Wielka waga tej kwestyi przebija się najwidoczniej w przyznaniu jej międzynarodowego znaczenia. To już nie sprawa tego lub owego z państw, ale sprawa całej ludzko-

---

9)

Wspomnienia o Heinem.

XV.

W roku 1847, po wydrukowaniu w *Falandze* mej *Wojny chłopskiej*, Eugeniusz Sue, dowiedziawszy się, że nie mogę znaleźć wydawcy, napisał do mnie, że oddaje do mego rozporządzenia 1,000 fr. na koszta druku tej pracy. W wigilię tego dnia, sprzedałem ją za 120 fr. Amyotowi.

Heine, przeczytawszy list Suego, wpadł w podziw nietylko nad wspaniałomyślnością pisarza, ale i nad możnością rozporządzania tysiącem franków i polecił mi zaprosić Suego na śniadanie. Dwaj ci sławni ludzie nie znali się osobiście.

— Sue — rzekłem do Heinego — i dwieście mil zrobi byle śniadać z panem.

— Idź także — dodał Heine—do mego przyjaciela Balzaca; zaproś go w mojem imieniu. To dwa potężne bieguny naszej umysłowej planety. Jeden przedstawia północ, drugi—południe, dojdziemy zatem do strefy umiarkowanej.

Udałem się do Balzaca. Nie lubił on Suego i jego socyalistycznego rodzaju, ale pragnął widzieć Heinego i przybył. Śniadanie odbyło się u mnie. Rzecz dziwna! Ci pierwszorzędni trzej pisarze przez czas pewien nie mówili ani o literaturze, ani o poezyi lub dziennikarstwie, ani też wreszcie o Akademii. Zanotowałem niezwłocznie wszystkie godne uwagi myśli z tej dyskusyi, która przez trzy godziny kręciła się koło wyrazów: rzeczpospolita, monarchia, socyalizm, furyeryzm i komunizm. Balzac oświadczył, iż jego przekonania są znane, a te, które nazywamy nowemi, są fałszywe, chimeryczne.

— Ponieważ idzie tu o monarchię i rzeczpospolitą — przerwał Sue — przeto proszę zauważyć, że rzeczpospolita jest starą, monarchia zaś nową. Toć jeszcze pani Staël powiedziała: „Despotyzm jest nowością, wolność datuje się od stworzenia świata i człowieka.“

— Przyjąłbym jaknajlepiej rzeczpospolitę — odrzekł Balzac — ale nie mogę przyjąć jej konsekwencyj socyalnych, nieuniknionych, koniecznych. Z kolei oświadczę wam: socyalizm, który się uważa za nowość, jest starym ojcobójcą. Zawsze on zabijał rzeczpospolitę, swą matkę i wolność — swoją siostrę. I tak będzie zawsze. Jest to odwieczny spór Platona z Arystotelesem, św. Augustyna z św. Tomaszem, Abelarda z św. Bernardem, Lutra z Munzerem.

— Wkraczasz w moją dziedzinę — krzyknął Heine. Nie potrzebujesz pan mówić: Lutra z Munzerem, mógłbyś powiedzieć: Lutra z Lutrem, Munzera z Munzerem. Nigdy niemiec nie był w zgodzie z sobą samym przez sześć miesięcy. Każdy, nawet Hahnemann, zawiera w sobie wszystkie, najsprzeczniejsze systematy. Nie było i nie będzie nigdy *niemca zjednoczonego*. Jedność narodowa, jeżeli kiedykolwiek do niej przyjdzie w Niemczech, stać tylko będzie siłą i gwałtownością, nigdy zaś w imię rozumu, albowiem w południe niemcy odrzucą całą filozofię, którą wymyślili o jedenastej.

Rozmowa toczyła się na temat polityki wewnętrznej Francyi i skrajnych kierunków, które coraz wybitniej szerzeć się w niej zaczęły. Balzac rzucał gromy na furyeryzm, saint-simonizm i komunizm, Sue wyrażał się o nich pobłażliwie a nawet przyjaźnie, Heine szyderstwem miarkował zapał obu.

— Wierzę w postęp — zawołał Balzac. Toć prawdą jest, że u wszystkich narodów znajdujemy tysiące lat istnienia ich pod formą monarchii, gdy tymczasem półwieku zaledwie pod rządami republikańskimi. Przypuśćmy, że rzeczypospolite przeszłości były tylko błyskawicami, wzorami, ideałami przyszłości. Wiecznie uczyć się powinniśmy. Ludzkość, podobnie jak osobnik, kształci się nieustannie. Trzeba tylko wiedzieć, czy prawdy zasadnicze nie są zawsze jednakowemi, czy może to być coś bezwzględnie nowego. Nie pamiętam, który z filozofów porównał prawdy zdobyte przez historyę do łupin cebuli: każda jej warstwa, znikając, odsłania skórkę zupełnie świeżą i młodą, ale jednak jest to tylko cebula!

— Która zawsze wyciska nam te same łzy — dodał Heine. Rozumiem teraz znaczenie cebuli egipskiej, tak żałowanej przez konserwatystów pustyni. Ale Mojżesz, republikanin, bezwzględny jak Robespierre,

ści a przynajmniej całej ucywilizowanej Europy.

Jak dalece zaś sprawa ta, a właściwie jej rozwiązanie na korzyść wydziedziczonych uświadomiło się już w najwyższych sferach, przekonywa ostatnia mowa ks. Bismarka. Najśmielszy ten i najszczerszy mąż stanu przy obradach nad ubezpieczeniem robotników rzekł: „Czy państwo ma obowiązek troszczenia się o pozbawionych pomocy obywateli, czy też nie? Ja twierdzę, że ma obowiązek, i to nie jako „chrześciańskie,“ ale samo przez się. Jeżeli mi ktoś powie, że to jest socyalizm, *wcale tej nazwy się nie lękam*. Każde prawo dobroczynności względem biednych jest socyalizmem. Kto go odrzuca bezwzględnie, musi zarazem odmówić państwu prawa dokonywania operacyi nożem chirurga i przy wracania zdrowia.“

Według ks. Bismarka zatem, wszyscy ludzie rozumni, nie wyłączając ministrów i monarchów, muszą być socyalistami, różnica między nimi zachodzi tylko w „granicach.“ Innemi słowy: dziś nie walczą antisocyalizm z socyalizmem, lecz rozmaite stopnie czy kierunki socyalizmu.

P.

SOCYALIZM AKADEMICKI.

Książka Laveleya o socyalizmie wyszła w drugiem wydaniu*). Powiększa ona szereg tych dzieł, które *opisują* socyalizm i jego teoryę w sposób tak ostrożny, że przeczytawszy je, trudno sobie zdać sprawę z przekonań autora. W żadnym razie socyalizm nie może zaliczyć Laveleya do swoich przeciwników, bo argumentów ugruntowanych przeciwko tej teoryi nie znaleźliśmy w książce jego żadnych. Słabe zaś wywody przeczące mogą tylko wyjść na jego korzyść. L. podaje nam dość obszerny i dość dokładny rys rozwoju *nowszych* prądów socyalistycznych wszystkich możliwych odcieni. Zaczyna od Fichtego i Marla; piszo o Rodbertusie, Marxie i Lassalle'u—o socyalistach „konserwatywnych,“ „ewangelistycznych“ i „katolickich,“ nareszcie według źródłowych dzieł niemieckich przedstawia dzieje „Internacyonału,“ związku powszechnego demokracyi, a w końcu mówi o socyalistach akademickich (Katheder-Socialisten). To wszystko, już nie wiem wiele razy, było przedstawiane; znającemu więc literaturę niemiecką nie daje nic nowego. Ale mniejsza o to. Pytajmy się jednak, co nam przy tej sposobności Laveley powiada nowego?

Rozpatrzmy trochę w tym jedynie celu książkę belgijskiego profesora.

„Socyalista jest pesymistą — czytamy w przedmowie (str. IV) — wykazuje on jasno ujemne strony stanu społecznego. Wykazuje, jak silny uciska słabego, jak bogacz wyzyskuje ubogiego, jak nierówność stała się jaskrawszą i cięższą. Wzdycha za idealnym stanem społeczeństwa, w którymby dobrobyt udzielany był stosunkowo do zasług i świadomych usług. Ekonomista zaś jest optymistą. Nie twierdzi on, że wszystko jest doskonałem, ale sądzi, że człowiek, idąc za popędem swych interesów osobnikowych, popiera w miarę możności interes ogólny i że z nieskrępowanych usiłowań wszystkich egoizmów wynika najlepszy porządek.“ Ani słowa — charakterystyka socyalisty w przeciwstawieniu do ekonomisty jest trafną; ale dlaczego L. chrzci pierwszego pesymistą a drugiego optymistą? Wszak tego, który wierzy w możność polepszenia i w lepszą przyszłość, nazywamy optymistą, tego zaś, który jak każdy uczciwy ekonomista, widzi złe a nie wierzy w możność przekształcenia go na dobre, trzeba nazwać pesymistą. I tak jest w istocie. Optymiści stają się socyalistami a ekonomiści muszą stać się pesymistami — jeśli nie są obłudnikami, bo w takim razie wygodniej im wejść do obozu socyalistów akademickich.

Słusznie zauważa L., że trzy czynniki stworzyły atmosferę, w której się wylągł socyalizm, mianowicie: „wierzenia i dążenia chrześciaństwa, zasady polityczne zapisane na czele naszych ustaw i konstytucyj i nowożytne przekształcenie sposobu produkcyi.“ Ale cóż z tego za nauka? Wierzenia i zapowiedzi religijne są przekazem płatnym na tamtym świecie — „królestwo moje nie jest z tego świata“ — kto ewangelię i ojców kościoła rozumie inaczej w życiu, spotka się tylko z rozczarowaniem. „Zasady polityczne naszych konstytucyj“ są po prostu czczymi frazesami. Kto zna życie państw konstytucyjnych, wie o tem dobrze. Trzeci zaś czynnik — przekształcenie produkcyi — jest jedynym, który nie stanowi złudzenia, ale rzeczywistość; niestety jednak, konieczną i niezmienną. Tego faktu żadna moc ludzka już nie cofnie.

Stosunek zaś tych trzech czynników do socyalizmu jest taki, że: źle zrozumiane nauki pobudziły go, w dobrej wierze przyjęte zasady konstytucyjne podsycały go — a niedający się już cofnąć sposób produkcyi staje na przeszkodzie wszelkim jego planom i ideałom. Są zaś tacy, którzy żądają, aby kościół i państwo wystąpiły do walki przeciw nowożytnemu sposobowi produkcyi: pierwsi nazywają się „socyalistami chrześciańskimi,“ drudzy „państwowymi.“ Cóż z tego, kiedy do tej walki nie przychodzi i nie przyjdzie, bo jej na seryo ani kościół, ani konstytucyjne państwa prowadzić nie chcą, ani też nie mogą. Gdyby zaś do takiej walki przyszło, pokazałoby się, że — fikcye nie mają władzy nad rzeczywistością.

Dlaczego Laveleye tej prawdy nigdzie jasno i dobitnie nie wypowiada? Bo jest socyalistą akademickim i zdaje się wierzyć, iż zasady ewangelii i konstytucyi nowożytnych urzeczywistnią się kiedyś, jeżeli — profesorowie zechcą do tego pomódz. Zdaje mi się, że wyliczając czynniki, które stworzyły atmosferę dla socyalizmu, L. zapomniał jeszcze o jednym, mianowicie o *literaturze akademickiej* w kwestyach społecznych, która nigdy istotnej myśli swej jasno nie wypowiada, prawi niby wyrocznia delficka tak, że sobie każda strona rzecz po swojemu tłomaczy. Ta dwuznaczność akademików jest prawdziwem nieszczęściem! Pozują oni na takich mędrców, którzy znają tajemnicę rozwiązania kwestyi socyalnej, którzy wynaleźli pośrednią drogę między socyalizmem a kapitalizmem, prowadzącą do upragnionego celu — ale żaden z nich jeszcze jasno myśli swej nie wypowiedział. W tym punkcie L. nie różni się wcale od „Katheder-socyalistów“ niemiec-

*) *Le socialisme contemporain.* Paryż, 1883.

---

powiedział do swych lewitów, strzaskawszy dekolog; „zmasakrujcie mi tę kanalię!“

— Prawdą, istotnie— odparł Balzac, zbijany ciągle z tropu przez żarty Heinego, jest to, że ludzie po większej części są szczęśliwymi i umieją być nimi tylko z musu, ulegając silnym, potężnym rozumem i wolą. Bezwzględna wolność nie była i nie będzie niczem, tylko anarchią bezwzględną.

Zaczęło się robić ciemno. Gotowy do podniesienia się Sue zawołał:

— Ależ jakie jest zdanie naszego przyjaciela Heinego?

— Jako niemiec, mam ich kilka. Reasumuję je wszakże i oto moje przekonanie. Uprzedzam was jednak, że się cofnę do potopu!

— Cofnij się — rzekł Balzac; to dla ciebie nie będzie trudne, potrzebujesz tylko dosiąść Pegaza.

— Zauważyłem — podjął znowu Heine, że doba dwudziestoczterogodzinna składa się z dnia i z nocy. Dwa kontrasty. Dzień sam, bez nocy, chociażby najpiękniejszy, pociągałby za sobą dużo niedogodności. Podobnie noc bez dnia. Zauważyłem dalej — i oto jestem przy potopie — że, aby mieć dziecko, potrzeba mężczyzny i kobiety, nadewszystko kobiety. Oto jeszcze dwa kontrasty, które się łączą czasami w pewną harmonię.

— Zauważyłem jeszcze, że dla zrobienia dobrego interesu potrzeba głupca i człowieka rozumnego. Powiedział mi ktoś — zdaje się, że Berlioz, bo Meyerbeer się na mnie gniewa—że dwa dysonanse tworzą zawsze harmonię i że akord doskonały składa się z tercyi, kwinty i oktawy, tajemnica, którą kabaliści zastosowali do miłości. Zapewniono mię nawet, iż istnieje gama barw. Krótko mówiąc, wszystko, cokolwiek trwa, cokolwiek robi przyjemność jest wytworem kontrastów. Sądzę zatem, moi przyjaciele, że podobnie dzieje się z rzeczpospolitą i monarchią. Potrzeba nie *jednej lub drugiej*, lecz *jednej i drugiej* na raz, czyli obu ich połączonych. O ile każda z osobna jest rozdźwiękiem, o tyle obie połączone wytwarzają doskonały akord. *Potrzeba tedy albo rzeczypospolitej rządzonej przez monarchistów, lub monarchii rządzonej przez republikanów.*

— Posiadam przeszło dwieście pięćdziesiąt argumentów do przedstawienia wam na poparcie mej tezy, która ma jedną tylko wadę: czuć ją eklektyzmem. Zatrzymuję się, mam żonę, a raczej żona ma mnie. Nigdy ona nie uwierzy, że śniadam na mieście z geniuszami: muszę wracać do domu i spodziewam się przyjemności widzenia panów u siebie. Ogłosimy rzeczpospolitę. Balzac będzie jej prezydentem, Sue—sekretarzem generalnym. Ja—opiewać będę waszą chwałę niemieckimi wierszami, bo nigdy francuzi nie pozwolą romansopisarzowi posiadać geniuszu politycznego. Meyerbeer podłoży je pod muzykę a odśpiewa mały Weill, który posiada głos tenorowy.

Nigdy odtąd trzej ci ludzie się więcej nie ujrzeli. Spotkałem Balzaca na bulwarze po rewolucyi lutowej, odprowadziłem go z przedmieścia Poissonnière aż do Madeleine. Powtórzył mi wszystkie argumenty, wygłoszone na śniadaniu, dając zwłaszcza do dowiedzenia mnie, że nigdy wybory nie wyciągnęły naprzód człowieka wielkiego talentu.

— Człowiek — rzekł — sądzi zawsze innych ludzi podług siebie. Głosuje zawsze za podobnym sobie i równym pod względem cnoty i rozumu. Stąd to pochodzi, że nigdy człowiek genialny, za swego życia, nie zajmował odpowiedniego mu stanowiska dzięki narodowi, lecz zawdzięczał go innemu geniuszowi: Molière—Corneille'owi, Schiller—Goethemu. Otóż, ponieważ większość ludzi jest mierna, głosuje więc za miernościami. Niechbyśmy, Sue, Heine i ja postawili swe kandydatury za Ludwika Filipa; czy sądzisz, że wybranoby nas, gdybyśmy byli obieralni? Nigdy! Naród wybiera zazwyczaj człowieka miernego i gadatliwego, który pod formą szefa jest w istocie jego niewolnikiem. Sądzisz, że Lamartine jest głową rzeczypospolitej? Dopóki da się niewolniczo ciągnąć swym przywódcom, jakoś jeszcze ujdzie. W dniu wszakże, w którym zechce narzucić jedną tylko z swych myśli, jednego tylko z swych ludzi, stłuką go jak szkło. Zapamiętaj pan — dodał, rozchodząc się ze mną — com mówił na owem śniadaniu, nadewszystko zaś nie przedstawiaj się nigdy jako kandydat stu tysiącom wyborców. Czego nie wybierają Bóg i natura, nigdy wybranem nie będzie.

Już go później nie ujrzałem.

. . . .

Na tem kończymy ciekawe wspomnienia o Heinem.

---

kich, w których, jak zobaczymy, pokłada wielkie nadzieje.

Podobnie jak wszyscy ci akademicy i L. powtarza bezustannie te same frazesy, niemające najmniejszej historycznej podstawy. Weźmy np. następujące zdanie:

„Szerząc między wszystkiemi warstwami społeczeństwa światło i moralność, chrześciaństwo złamało kajdany niewolnictwa.“ „Te same też wpływy moralne położą koniec nędzy.“

Przypatrzmy się tej przesłance, aby ocenić wartość wyprowadzonego z niej wniosku.

Jeśli ktoś powiada, że w Piśmie św. lub w literaturze kościelnej jest dużo światła i moralności, to zgoda. Ale gdzież jest to *światło* i ta *moralność* rozszerzone między wszystkiemi warstwami społeczeństwa? Gdzie i kiedy one tam były i gdzie się podziały? Czy w średnich wiekach? czy za czasów krucyat? czy kiedy odkrywano Amerykę? czy kiedy palono czarownice? Kiedyż to *światło* i *moralność* złamały kajdany niewolnictwa? Te *słowa* słyszymy wiecznie, ale *faktów* nie podaje nikt. Że się komuś podoba poddaństwo średniowieczne i nowszych czasów nie nazywać niewolą— cóż to ma do rzeczy. Alež podobno i nowożytnego poddaństwa nie zniosły *światło* i *moralność*, tylko albo przewroty, albo — obligacye indemnizacyjne. I z takiej przesłanki wyprowadza L. wniosek, że: „te same wpływy moralne położą koniec nędzy!“ I któż to taką zapowiedź ma wziąść za dobrą monetę? Któż akademickim socyalistom ma wierzyć, że oni ją na seryo biorą? Czy to nie wygląda na wykręcenie się frazesem z niewygodnej sytuacyi? „Wpływy moralne położą koniec nędzy“—czy to mówi ekonomista, czy socyalista? Ekonomista nie może wierzyć w to, aby *materyalny, ekonomiczny stan rzeczy* zmienionym został przez — wpływy moralne, bo wie dobrze, że światło i moralność nie mają nic do czynienia z rozwojem ekonomicznym a przynajmniej rozwojem tym nie *rządzą*.

Gdyby zaś socyaliści chcieli się zadowolić nadzieją, że „wpływy moralne położą koniec nędzy“ — nie mielibyśmy nic przeciwko temu, ale wtedy nie byłoby socyalizmu na świecie!

W tem też leży główne złudzenie L., że czynnikom moralnym, *ideom*, przypisuje zbyt wielką potęgę i wpływ na dzieje oraz rozwój społeczeństw. Pochodzi to stąd, że powierzchownie rzeczy sądzi i nie odróżnia *pozorów* historycznych od prawdziwych przyczyn i czynników rozwoju dzisiejszego. I tak np. przeciwko teoryi Lassalle'a o znaczeniu *siły* w dziejach powiada:

„Prawda, że bagnety rozstrzygają; ale cóż innego, jeśli nie *idee*, kierują bagnetami? Czyż to nie zasada abstrakcyjna *narodowości* wywróciła do góry nogami stary układ polityczny Europy?“ I tutaj powołuje się L. na Napoleona III i Bismarka. Odpowiadamy, że to znowu jest taki frazes czczy, jak ów poprzedni o „złamaniu kajdan niewolnictwa przez rozszerzoną moralność.“ Rzecz zupełnie się ma inaczej. Przewrotu politycznego w interesie dynastyi lub władzy nie można dokonać z garstką przyjaciół; trzeba do tego mas wielkich. Aby zaś masy chwilowo poruszyć do żywszego czynu, trzeba je zelektryzować, trzeba pobudzić w nich jeden z tych odwiecznych instynktów dzikich, które człowieka zamieniają na zwierzę drapieżne i skorym go czynią do rzucenia się na przeciwnika z całym impetem i z całą bezwzględnością najpierwotniejszych czasów. Tego wszystkiego nie można lepiej dokonać, jak za pomocą haseł, pod któremi masy uczuwają się nagle zespolone w jedną całość, zsolidaryzowane. W różnych czasach używano w tym celu różnych godeł. Raz służyła w tym celu „religia,“ raz „wolność,“ raz znowu „narodowość“ itd. Przywiedzione przez L. przykłady Napoleona III i Bismarka nie dowodzą wcale wpływu idei na rozwój dziejów, tylko zręczności tych ludzi, którzy umieli działać na masy, powołując je w imię „narodowości“ do walki przeciw wrogom. Ale idea narodowości nie zjednoczyłaby Niemiec, gdyby nie wojska pruskie, ani też Włochy, gdyby nie wojska francuskie pod Solferino.

Nie dziw jednak, że Laveleye przecenia działanie *idei*, skoro wierzy, że na rozwój historyi ma wpływ wolność człowieka, t. j. że człowiek według wolnej woli swojej kieruje biegiem wypadków. Oczywista, gdyby tak było, to nic łatwiejszego, jak podziałać *ideą* i *pobudką moralną* na człowieka, który ze swej strony znowu pokierowałby biegiem wypadków. Posłuchajmy prawdziwie naiwnych słów Laveleya: „Gdyby prawa ekonomiczne działały z taką nieubłaganą stałością, jak prawa kosmiczne, argumenty Milla i Lassalle'a byłyby niezachwiane: *ależ człowiek jest istotą wolną*, który słucha różnych motywów i którego postępowanie zmienia się według opinii i nadziei, według idej panujących i instytucyj, które go otaczają.“ Czyż mamy potrzebę wobec takiego wyznania wiary filozoficznej czyli raczej *nie*-filozoficznej rozprawiać się z Laveleyem? Oczywiście, jeżeli prawa ekonomiczne *nie* działają tak nieubłaganie, jak kosmiczne, to L. ma racyę; jeżeli „wolny człowiek“ może prawa te zmieniać według doktryn nowych lub idej panujących—wtedy przyznajemy, że nie byłoby wcale trudną rzeczą „położyć koniec nędzy.“ Czy tak, czy owak, w świecie *wolnego* człowieka, w świecie, w którym by nie było stałych praw ekonomicznych, kwestya socyalna nie przedstawiałaby żadnych trudności. Laveleye wierzy, że żyje w takim świecie i dlatego zupełnie logicznie na końcu zwraca się pełen otuchy do *socyalizmu akademickiego* (socialisme de la chaire) i wypowiada silną nadzieję, że: „*on* to wsparty na ścisłej znajomości faktów historycznych i statystycznych oczyści i uszlachetni *idee* panujące o wzajemnych prawach i obowiązkach, przez co przyczyni się do ustalenia między ludźmi *rządu sprawiedliwości* i tego *królestwa niebieskiego*, przewidzianego przez Platona a przepowiedzianego przez proroków Izraela i Chrystusa.“

Niestety, nie podzielamy z Laveleyem zdania, jakobyśmy żyli w świecie, w którym *wolna wola* człowieka kieruje *prawami ekonomicznemi*, w którym przez *idee* czyste i wzniosłe, choćby nawet oparte na „wiadomościach historycznych i statystycznych“ można zaprowadzić „rząd sprawiedliwości i królestwo niebieskie,“ najmniej zaś podzielamy zdanie, jakoby to wszystko zależało tylko od — pp. profesorów!

Ażeby zaś nie pozostać przy samem przeczeniu i nie pozostawić czytelnika w niepewności co do myśli naszej, powiemy wprost, że według nas na tym świecie (a innego nie znamy) wola człowieka *podlega* niezmiennym prawom ekonomicznym; że porządek społeczny jest wynikiem tych stałych i niezmiennych praw a nie wolnej woli człowieka; że bywają idee prawdziwe i fałszywe, pierwsze są wiernem odbiciem rzeczywistości, drugie — upiększeniem jej; szerzenie pierwszych uważamy za daleko skuteczniejsze, aniżeli szerzenie ostatnich, bo znając nieubłaganą prawdę, ludzie usiłują do niej zastosować się, wierząc zaś w błędne ideały o „panowaniu sprawiedliwości i królestwie niebieskiem na ziemi,“ gonią za niemi i popadają w najgorsze omyłki i nieszczęścia. Zadaniem zaś katedr nie może i nie powinno być szerzenie ideałów fałszywych, jak tego żąda Laveleye i jak to, niestety, dzieje się dziś niejednokrotnie w Niemczech. Umiejętność bowiem ma tylko jedno zadanie: poznać rzeczywistość, a więc prawdę. Ale poznając ją i dając poznać, toruje ona drogę wszelkim *możliwym* polepszeniom stanu społecznego.

L. Gumplowicz.

O NATURALIZMIE.

„Naturalizm:“ i wyraz się przyjął i rzecz sama stała się w literaturze czynem dokonanym — weszła, stanowisko zajęła i prawo obywatelstwa uzyskała. Pojawienie się naturalizmu wywołało w czasie swoim oburzenie powszechne. Przedewszystkiem odmawiano mu racyi bytu, a obok tego obrzucano autorów, co kierunek ten przyjęli, obelgami i wróżono im bliski, niechybny a zasłużony upadek. Stało się inaczej. Wróżby się nie ziściły; oburzenie, jeżeli nie całkowicie przeminęło, to mocno złagodniało i nadeszła pora rozwagi chłodnej, pozwalającej mniej więcej spokojnie i mniej więcej sprawiedliwie oceniać zwrot, który się wydawał potwornym a był w rzeczy samej naturalnym. „*Les lois générales de la nature planent sur l' art tout entier* (Wikt. Hugo w przemowie do „Kromwela“). Zwrot ów jest nie czem innem, jak dalszym ciągiem rozwoju, zaznaczonego w poezyi przez Wiktora Hugo, w romansie przez Balzaca. Hugo w obozie klasycznym wywiesił sztandar romantyzmu, Balzac wprowadził romans na grunt realistyczny. Dokonali oni rewolucyi, dzięki której nie ominęły ich obelgi, nie łagodniejsze od tych, jakiemi niedawno raczono wyznawców naturalizmu. Wrzawa była straszliwą.

Pamiętamy ją. Odbiła się echem i u nas, działo się to bowiem lat mniej więcej czterdzieści temu, kiedy się pojawiła Michała Grabowskiego *Literatura i krytyka*, która literaturę francuską owczesną napiętnowała mianem „szalonej“ i odsądziła ją od czci i wiary ze stanowiska teoryj estetycznych Villemain'a. Praca ta sprawiła wrażenie wielkie. Publiczność nasza, lewą ręką odżegnywając się od literatury tak bezwzględnie potępionej, prawą sięgała po utwory pisarzy francuskich i zawzięcie je czytała. Na wiarę wyroku Grabowskiego, oburzano się straszliwie i uczono się umyślnie po francusku, celem zapoznania się bliższego z autorami *Notre-dame de Paris*, *Comedie humaine*, *Le juif érrant*, *Mémoires du diable* itd. Oswojono się z nimi następnie i pogodzono. Pokazało się, że owi straszni nie są tak straszni, za jakich ich krytyka podawała. Zrobili rewolucyę, która, w istocie rzeczy, zrobiła się sama. Tak być musiało.

Toż samo się powtórzyło, jota w jotę, z literaturą, która miano „naturalistycznej“ przybrała. Oburzono się na nią straszliwie, bezwzględnie, naprzód tam, gdzie się wylęgła, we Francyi, następnie u nas. Lecz przeszło lat kilka, krew ochłodła, oburzenie złagodniało i dziś możliwem się stało spokojne rozpatrywanie zjawiska, które przyszło, bo przyjść musiało.

P. Ludwik Desprez (*L' Evolution naturaliste*, Paryż, 1884, u Tresse édit.) tłomaczy zjawisko to za pomocą prawa rozwoju, któremu wraz ze społecznością podlega literatura. W społeczności odbywa się przelew władzy z rąk liczby małej w ręce liczby wielkiej i wraz z tem rozszerza się przystęp do czytania. Kto czytał w czasach dawnych? Grono wybranych tylko i do smaku grona tego stosowała się literatura. Jakim był smak czytelników, taką była ona, produkując w swoim czasie—obok epopei bohaterskich, sonetów miłosnych, traktatów filozoficznych i dzieł teologicznych — utwory tego rodzaju, jak *Decameron*, jak *Gargantua et Pantagruel* i t. p. Trwało to długo, smak się kształtował powoli, zachowując tę dwulicowość, skutkiem której autor np. *Trenów* na śmierć Urszulki był zarazem autorem *Fraszek*. Smak urabiał się i delikatniał, subtelniał, nasiąkał pierwiastkami sentymentalizmu. Poczęło się to od epoki, w której, na dworach królewskich, damy dworu przestały sypiać na słomie, jadać słoninę i pijać pi-

wo a rozwijało się, zachowując dwulicowość zawsze. Za Ludwików XIV i XV panowały elegancya i rozwiązłość obyczajów w towarzystwie, które czytało: dla towarzystwa też tego pisali Racine i Piron. Po rewolucyi rozszerzyła się znacznie sfera czytelnicza, do książek pogarnął się rodzaj ludzi odmienny i odmiennej zażądał strawy. Zajęła stanowisko prasa; z kolei przyszło reporterstwo; do Europy wkroczyła — jak słusznie p. L. Desprez powiada — Ameryka; Europa się zamerykanizowała i zapotrzebowała strawy literackiej odpowiedniej smakowi rozszerzonego grona czytelników, mającego się do smaku dawniejszego, jak człowiek „z czarnemi od pracy rękami“ do markiza w pończochach jedwabnych i w rękawiczkach glansowanych. Na osobliwość tę krytycy uwagi nie zwracają, trzymając się reguł estetyki szkolnej, które istnieją nie dla estetyki, ale dla czytelników i do tych ostatnich stosować się muszą. Inaczej się pisało dla dworaków, inaczej dla mieszczaństwa, inaczej się pisze dla ludu. Powyżej wymieniony autor zaznacza trzy doby w czasach ostatnich, w których się ujawniają zwroty literackie. Balzac w *Comedie humaine* malował towarzystwo z czasów Ludwika Filipa, Gustaw Flaubert w *Madame Bovary* treść czerpał ze sfery mieszczaństwa prowincyonalnego w epoce drugiego cesarstwa, Emil Zola w *Assomoir* zwrócił się do ludu przedmiejskiego. Ani ci, ani tamci, ani owi czytelnicy nie są to już ludzie, których by zadawalała obłoczna fantazya. Nieprzystępne i niezrozumiałe są dla nich etery ideału czystego. Domagają się oni rzeczy realnych, dotykalnych, namacalnych i na coś przydatnych. Na co im pianka? Pianka ich nie zadowoli — nie dla nich wino szampańskie. Stąd też romans francuski, „dla własnej sławy, spokoju, wygody,“ czyli, wyraźniej mówiąc, z konieczności rzeczy, zeszedł z wysokości, stał się, jak francuzi powiadają, *terre à terre* — nawet zaszargał się w błocie, aż do przesady. Zola, ze względu na język, jakim pisze, praktykuje nie już naturalizm, ale raczej brutalizm, przypominający brutalizm Boccacia, Rabelais'go, Shakespeare'a. Sprawia to czytelnikowi wymyślnemu wstręt; powiedzieć atoli nie można, ażeby metoda ta nie stosowała się do potrzeby chwili — do owego „amerykanizmu,“ który zalał Europę, nauczywszy masy sztuki czytania. Cóż z tym smutnym faktem robić? Gdzieniektórzy narzekają. Zdaje się, że zamiast narzekać, lepiej czekać na owoce szkół i szkółek, których mnóstwo także we Francyi powstaje, które czytanie uprawiają, jak się uprawia grunt nowinny. One smak ukształtują kiedyś. Czytelnicy dzisiejsi — owi amerykanie europejscy — znajdują się na wysokości tego poziomu pojęć, na jakiej znajdowali się czytelnicy Boccacia i Rabelais'go. Podniosła się z pokładów dolnych nowa ludności warstwa z gustami, które się zaspokojenia odpowiedniego domagają. Warstwa ta, dzięki nauce, podniesie się jeszcze wyżej. Rzecz ta wątpliwości nie ulega.

Rozpatrywanie tak zwanego naturalizmu wysuwa na widownię postać człowieka, którego, gdyby nie było, byłaby w literaturze francuskiej przerwa pomiędzy Balzac'iem a Zolą. W chwili obecnej dużo piszą o Gustawie Flaubercie. Maxime du Camp w swoich *Wspomnieniach literackich* zajmuje się nim szeroko; Paweł Bourget studyuje go ze strony psychicznej; Ludwik Desprez poświęca mu wstęp i jeden rozdział cały w swojej *Ewolucyi naturalistycznej*; Guy de Maupassant wreszcie wydanie *Listów Flauberta do J. Sand* poprzedza analizą, wyczerpującą osobliwości tego niepłodnego, ale znakomitego pisarza. Jest to postać — dziwna. Pospolitym „zjadaczom chleba“ inaczej o nim wyrazić się nie sposób, jak również nie sposób jej zrozumieć bez pomocy Maudsley'a (*Patologia ducha*), który w rozdziale „Symptomatologia obłąkania,“ opisując „temperament wesaniczny,“ kreśli obraz Flauberta. „Temperament ten — słowa jego — charateryzują osobliwości czyli ekscentryczności myśli, uczuć i postępowania. O człowieku z temperamentem tego rodzaju powiedzieć nie można, że jest w istocie obłąkanym, jest atoli napowne dziwnym, czyli „oryginalnym,“ czyli, jak powiadają, nie całkiem zrównoważonym. Co robi, nie robi najczęściej jak inni. Gdy opinię wyraża, opinia jego ma na celu przedstawienie się z punktu widzenia nowego i dziwnego, o którym nie pomyślałby człowiek pospolity.“ Co więcej, Flaubert, według tego, jak go przyjaciele, znajomi bliscy i wielbiciele przedstawiają, znajdował się w ustawicznej z samym sobą sprzeczności. Wyznawca, wielbiciel Wiktora Hugo, hugonista z przekonania, a więc romantyk w teoryi, był realistą w wykonaniu. Do realizmu nie przyznawał się, tak dalece, że, gdy po wyjściu w świat jego *Madame Bovary* krytyka nazwała go realistą, nazwę tę przyjął za obelgę. A jednakże był takim, łącząc realizm z posuniętem do stopnia najwyższego artystycznem poczuciem formy, polegającem na pracowitem rzeźbieniu frazesów. Rzeźbił je i cyzlował, a zarazem sumiennie opracowywał przedmiot. Powieści swoje pisał po sześć, siedem lat jedną, zbierał do każdej materyały, czytał, studyował — pracował dniami i nocami. Pomiędzy materyałami, jakie po nim pozostały, ciekawe są szczególnie te, które mu służyły do opracowania *Bouvard et Pecuchet*. Książka ta jest przechadzką po labiryncie erudycyi z nitką w ręku, którą jest ironia autora, zaznaczającego na kroku każdym i we wszystkiem wiekuistą a powszechną głupotę ludzką. Materyały składają się z wypisów autorów, używających powagi. Spotykają się tam rzeczy zdumiewające. Tak np. biskup Dupanloup, w *Education intellectuelle*, pisze: „Uczenie się matematyki, uciskając uczuciowość i imaginacyę, sprawia niekiedy wybuch namiętności straszliwy;“ albo De Maistre, w *Soirées de St. Petersbourg*: „Przesądność jest to wysunięta naprzód religii warownia, której niszczyć nie należy;“ albo Mgr. Mermillod, w *De la vie surnaturelle des ames*: „W pochodzie społeczeństwa chrześciańskiego, na relsach świata, kobieta jest kroplą wody, której wpływ magnetyczny, sprawdzony i oczyszczony przez ogień Ducha św., udziela także ruchu pociągowi społecznemu, idącemu pod jej naciskiem dobroczynnym. Lecz, gdy zamiast kropli wody błogosławieństwa bożego, kobieta przynosi kamień wykolejenia, następują wówczas katastrofy straszne;“ albo Ludwika Napoleona: „Bogactwo kraju zależy od pomyślności ogólnej;“ albo Piusa IX: „Nauczanie filozofii napawa młodzież żółcią smaku w kielichu babilońskim.“ Itd., bez liku — możnaby z tego, jak Guy de M. twierdzi, trzy tomy druku zebrać. Ale śród wyjątków tych znalazłoby się miejsce i na wyjątki z listów Flauberta do J. Sand. List np. LXVII, w którym powiada, że jedyną rzeczą roztropną byłby rząd mandarynów uczonych, mógłby pójść cały na świadectwo... historyi p. p. Bouvard i Pecuchet.

T. T. Jeż.

BIBLIOTEKA MATEMATYCZNA.

(Dokończenie).

Arytmetyka (kurs teoretyczny) M. A. Baranieckiego (z przypiskami A. Żbikowskiego i J. N. Frankego) ma służyć jako materyał dla nauczycieli zakładów naukowych średnich, lub też jako podręcznik dla uczących się, którzy pragną albo potrzebują powtórzyć i uzupełnić nabyte już wiadomości z arytmetyki. Wykład właściwy poprzedzony jest wstępem, poświęconym „krótkiemu rysowi rozwoju arytmetyki i jej nauczaniu w Polsce.“ Ponieważ poprzednio W. Trybulski w artykule „Arytmetyka,“ zamieszczonym w *Encyklopedyi wychowawczej*, tę samą kwestyę rozwinął dość obszernie, przeto p. Baraniecki w pomienionym wstępie kładzie nacisk szczególny na te strony przedmiotu, które tam były pominięte lub za krótko traktowane. Chcący więc z tego wstępu odnieść prawdziwą korzyść, winni wprzódy przeczytać artykuł Trybulskiego, na który się zresztą w wielu miejscach sam autor powołuje. Kurs arytmetyki p. B. składa się z 10 rozdziałów, obejmujących: 1-szy liczenie ułomne i piśmienne; 2-gi dodawanie i odejmowanie liczb całkowitych; 3-ci mnożenie i dzielenie liczb całkowitych; 4-ty cztery działania z liczbami wielorakiemi, poprzedzone obszernym wykładem o miarach; 5-ty naukę o największym spólnym dzielniku i najmniejszej spólnej wielokrotnej kilku liczb; 6-ty naukę o ułamkach zwyczajnych; 7-my naukę o liczbach dziesiętnych; 8-my naukę o zamianie ułamków zwyczajnych na dziesiętne i odwrotnie; 9-ty stosunki i proporcye; 10-ty naukę o proporcyonalności i reguły: trzech prostą złożoną, procentu i odtrącania procentu, spółki, mieszaniny, łańcuchową i fałszywego założenia. Książka kończy się dwoma przypiskami: jeden „o podzielności przez liczby pierwsze względem 10“ przez A. Żbikowskiego, i drugi: „Jan Brożek o liczbach doskonałych i o liczbach zaprzyjaźnionych“ przez J. N. Frankego. Wybitne stanowisko, które autor zajmuje u nas śród ludzi oddających się nauce, jest dostateczną rękojmią, że książka przez niego napisana zadość czyni wymaganiom umiejętności i pedagogii. Zalecanie jej przeto umyślne, choćby nawet za pośrednictwem uwidocznienia jej zalet, uważamy tu za zbyteczne. Zresztą dla dopięcia tego musielibyśmy wejść w wiele szczegółów, co przechodzi rozmiary zwykłego sprawozdania.

Geometrya analityczna, przez Wł. Zajączkowskiego, stanowi 4-ty tom seryi 4-ej; przeznaczona jest zatem dla rozpoczynających nauki wyższe, bądź to w uniwersytetach, bądź też w wyższych szkołach technicznych. Dzieło składa się z dwu części, z których pierwsza obejmuje geometryę w płaszczyźnie, a druga — w przestrzeni; poprzedzone jest nadto wstępem historycznym, dotyczącym rozwoju geometryi analitycznej wogóle i w Polsce. Jako wykład podstawowy, ogranicza się na krzywych i powierzchniach algebraicznych, ze szczególnem uwzględnieniem tychże stopnia drugiego. Mimo to jednak rozmiary przybrała znaczne (str. XXXVIII i 511), z powodu wyczerpującego przedstawienia najgłówniejszych z nowszych metod badania. Tak np. nie mówiąc już o spółrzędnych Descartesowych i biegunowych, spotykamy obszerne zastosowania spółrzędnych jednorodnych i Plückera. Szczególnie te ostatnie, łącznie z Descartesowemi są tu w użyciu największem, gdyż autor przeprowadza wszędzie zasadę dwoistości. Prócz jasności, zwięzłości i ścisłości wykładu, któremi to zaletami odznacza się całe dzieło, znajdujemy na końcu każdego rozdziału szeregi umiejętnie dobranych zadań, podanych jako ćwiczenia, a na końcu każdej części ogólne wskazówki celem ułatwienia rozwiązania tych zadań. Jest to najpraktyczniejszy sposób, jeżeli chcemy, aby uczący się poznał wszystkie strony przedmiotu i użycie metody, którą w danym razie stosuje. W wyborze materyału do swojej książki, autor posiłkował się najznakomitszemi dziełami i monografiami w obcych językach; chcąc zaś zapewnić prawdziwą korzyść młodzieży naszej, ujednostajnił to wszystko i przerobił w ten sposób, aby rzeczy trudne o ile można uprzystępnić.

Wł. G.

TEATR.

Dwie miłości, dramat w pięciu aktach, Józefa Kościelskiego.

Nieprawa miłość i cudzołóstwo jest dla dramaturgów dzisiaj prawdziwym kokonem, z którego snują nitkę, niezawsze umiejąc trafić do jej końca i plącząc ją w skrętach najdziwaczniejszych paradoksów. Każdemu się zdaje, że może na ten temat filozofować, ale podobno nikt nie umiał zajrzeć w oczy temu etycznemu sfinksowi, wobec którego bezsilnymi się czują prawodawcy społeczni. Posłuszeństwo starym formułom uzbraja zwykle poetów w gromy potępienia i kary nawet wtedy, gdy oni sami roztaczają tak ponętny obraz zakazanych rozkoszy, że chyba tylko zuchwały asceta mógłby wobec nich zdobyć się na stanowczą odporność. Ten i ów malując zboczenia „ziemskiego grzechu," podaje na nie rozmaite recepty, ale żaden podobno nie sięgnął śmiało do jądra kwestyi, żaden nie zadał sobie pytania: czy odpowiednie naturze ludzkiej są prawa moralne, które w praktyce ulegają tak częstemu zaprzeczeniu? W ustawodawstwie społecznem i politycznem wartość danego przepisu nie mierzy się tem, czy on pięknie wygląda w teoryi, ale tem, czy jest zachowywany w praktyce. Kto tylko przypatrzył się obyczajom pewnych warstw społecznych, które pozornie zachowują przepisy etyki, regulujące stosunek moralny obu płci, ten się przekonał w wielu razach, że są one tylko formułą zewnętrzną, zręcznie zachowywanym pozorem, ale najczęściej — jak powiada Shakespeare — „namiętność niby zając przeskakuje sieci szanownego morału." W życiu społeczeństw dzisiejszych wzrost poczucia swobody osobistej i krytycyzm, podmywający dogmaty, coraz bardziej łamie dawny patryarchalny porządek, przeciwstawia się etyce kościelnej, tak często nierachującej się z naturalnem prawem do szczęścia i swobody, z prawem rozwoju godziwych namiętności, bez których człowiek byłby martwym klocem lub sennym fakirem. Bezwątpienia, pożądania i przywileje jednostki muszą być ograniczone niekiedy na korzyść siły i rozwoju gatunku, ale w każdym razie prawa moralne nie powinny nigdy wymagać bezpłodnego poświęcenia szczęścia i zaparcia się najpotężniejszych porywów ludzkiej natury dla teoretycznych urojeń, które chcą stosować ludzkie życie do nadludzkich wymagań i czynić je zależnem od złudnej, zaziemskiej sankcyi. W kwestyi tego, co dzisiaj nazywa się miłością grzeszną, nieprawą, prowadzącą do cudzołóstwa, pojmujemy racyonalnie tylko dwa stanowiska, które zająć powinien trzeźwy lub śmiały dramaturg, jeżeli chce być reformatorem obyczajowym i nauczycielem wielkiej sztuki życia. Albo uznając konieczność godzenia się z istniejącemi prawami, zalecać winien odpowiednie urabianie charakterów w moralnej hodowli i utrzymanie form obyczajowych, które osłabiają zbyt dowolny rozwój namiętności; albo też uznając nieodpowiedniość wielu praw moralnych, wytworzonych przez inne rasy, w innych epokach cywilizacyjnego rozwoju, głosować śmiało za zmianą nakazów, których łamanie, wedle pojęć dzisiejszych, sprowadza tak często ruinę szczęścia rodzin lub jednostek. Zamiast tego znajdujemy najczęściej w utworach powieściowych lub scenicznych, zwłaszcza francuskich, mniej lub więcej ponętny i denerwujący obraz miłośnych przygód, okraszony zdawkowym morałem.

Jak tę kwestyę postawił J. Kościelski w swym dramacie, który oparty jest przeważnie na szałach i zboczeniach zapamiętałej miłości? Patrzcie — tak mówi autor — oto jest jedna miłość szalona, burzliwa, zmysłowa, znająca tylko prawa własnej żądzy a tu miłość druga, szlachetna, głęboka, czysta, poświęcająca się, ta, która uosabia „ład i godziwość." Jedna daje trujące rozkosze, każe się wić w zgryzotach, każdą chwilę upojenia okupywać winą i poczuciem spełnionego występku; druga daje ciche szczęście, lub goi szał obłędny, wydobywa z upadlającego jarzma namiętności. Pomiędzy takiemi miłościami znajduje się bohater dramatu, na którego autor zwalił ciężar gnębiącego fatalizmu. Czy w życiu taka gorączka szalonych chuci leczy się limoniadką spokojnego idealizmu i narzuconych przez rozum związków małżeńskich? Psycholog, znający ślepotę namiętności, z powątpiewaniem przyjmuje takie środki i wskaże chyba inne sposoby moralnej kuracyi, polegającej na świadomem przez silną wolę kierowanem poddawaniu dotkniętego chorobą umysłu szeregowi wrażeń silnych odmiennej zupełnie natury. W skuteczność poprzednich środków wierzy jednakże opiekun bohatera Rolicz, właściciel fabryki, kojarząc małżeństwo jego z córką jednego ze swych starych przyjaciół, Ewą, kobietą szlachetną, spokojnie mężną, ufną w potęgę uzdrawiającej miłości. Namiętność kobiety broni praw swoich, a ponieważ dzieje się to wśród rodzin, których przeszłość miała bolesne tajemnice, więc akcya plącze się na podstawie jaskrawych potworności moralnych. Ostatecznie okazuje się, że bohater sztuki Karol Starski, uwodząc żonę swego dobroczyńcy i pryncypała, którą nieprawa miłość zrobiła „wyjącą w ciągłym szale hyeną," staje się kazirodcą, gdyż jest naturalnym synem Rolicza, który znowu uwiódł niegdyś jego matkę Ewę i starał się okupić krzywdę jej męża wyświadczaniem dobrodziejstw. Tajemnice te powstają nagle, jak upiory z grobowca przeszłości, i wywołują straszną katastrofę, która sprowadza samobójczą śmierć obłąkanej nieprawą miłością Lucyny żony Rolicza. Krzywdzący i krzywdzeni ojcowie rozchodzą się z klątwami na ustach a Karol Starski wraca do Ewy, do tej, której miłość ma go okupić. Zostać przyczyną śmierci ukochanej kobiety, matki, przekonać się o tem, że spełniło się kazirodztwo, poznać hańbę własnej matki, odkryć ją przypadkiem prawnemu ojcu (t. j. temu *quem nuptiae demonstrant*), zatruć życie dobroczyńcy swemu i naturalnemu ojcu, ujrzeć się w roli podłego uwodziciela — to ciężar, jak na jedno sumienie, zbyt wielki, aby można nosząc go spocząć w objęciach ziemskiego anioła.

Autor z prawdziwem okrucieństwem sztucznego twórcy nieszczęść zwalił te okropności na barki swego bohatera. Gdyby kto mógł się wplątać w taką matnię, to jedynem z niej wyzwoleniem byłaby dobra doza cyanku potasu, albo przepędzona przez mózg pistoletowa kula.

Etyczny tedy wynik sztuki p. Kościelskiego nie budzi wiary w zwycięstwo miłości prawej. Sądzony skalą realistyczną dramat ten nie może być uznany za odbicie naszych stosunków. W sferze przemysłowej, zwłaszcza naszej, nieznanoby te chorobliwe, splątane wątki nieprawych miłości, dla których właściwą sferą jest zdenerwowana i próżniacza arystokracya francuska. Charaktery pomyślane także z głowy opierają się na parafrazie jednej namiętności lub formuły, mającej wyrażać wartość psychiczną danej jednostki. Całość wygląda tedy chwilami na fantasmagoryę, odzianą w pozory rzeczywistości i sięga nakoniec w sferę mocno melodramatyczną. Z drugiej strony budowa sztuki wyborna, poczucie scenicznego efektu ogromne, cały ton roboty szlachetny, niekiedy wytworny, dyalog prowadzony sprężyście, obfitujący w świetne niekiedy zwroty, nareszcie pomimo treści niezmiernie jaskrawej, upostaciowanie jej w słowach dystyngowane i oględne.

Wszystko to czyni z *Dwu miłości* świetną sztukę sceniczną, której wrażliwi świadkowie słuchali z zapartym tchem w piersiach, tembardziej, że artyści wlali po mistrzowsku życie w efektowne formuły charakterowe. Królikowski rozwinął swą zwykłą umiejętność wysuwania tłumionych uczuć i tajemnie żrących duszę cierpień; panna Marcello podchwyciła bezwzględną ślepotę szału i namiętności i kładła w grę swoją żar niekłamany; panna Wisnowska przedstawicielkę godziwej miłości wyposażyła prawdziwą poezyą, skupioną prawdą uczucia okraszonego poetycznym wdziękiem; p. Rapacki oddał dobrze szlachetną ślepotę próżniaka; p. Tatarkiewicz przeprowadził swego bohatera z wielkim smakiem przez cały szereg jaskrawych zawikłań. Jednem słowem, na scenie dramat ukazał się w całej pełni świetnego upostaciowania, które umie zastąpić hożą krasę życia złudnym rumieńcem gorączki.

W.

LIST J. SŁOWACKIEGO
DO L. NIEDŹWIEDZKIEGO.

List Słowackiego, który tu po raz pierwszy z autografu wydaję, zawdzięczają czytelnicy uprzejmości samego adresata, za co mu serdecznie dziękuję. Dostałem to pismo za pośrednictwem mego przyjaciela dr. L. Finkla i pośpieszam z ogłoszeniem go, zawiera bowiem kilka nowych szczegółów, rzucających jaśniejsze światło na fizyognomię poety z przedostatniej doby.

List ten jest świadectwem z najszczęśliwszej może epoki w życiu zgryźliwego „Julka," trwającej ledwie kilka miesięcy 1841 r. Lata, napełnione nudą i troską, lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień i bolu minęły już niepowrotnie — nastąpiła chwila spokoju, zadowolenia, możliwego szczęścia. „*Dobrze mi na ziemi*— pisze do matki z Paryża dnia 15 lutego 1841 r. — *stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy* prawie, w wielu rzeczach *mniej niecierpliwy*, to jest rozsądniejszy, słowem świat mi był nauką niezbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń. Jestem, jak zawsze, dość samotnym; pracuję, dumam, *ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydziła, zniknęła.* Widzę, że mię Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną, dumną *spokojność.*" Któż nie zaznał zmiany takiej w życiu? Są chwile, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię—nic mu natenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowania żadne nie osiągają celu, są to złe i bezsenne chwile... Lecz nagle uczuwamy, że wszystko się odmienia, życie staje się pełniejszem, a cały świat wesołym i szczęśliwym.

Taką nagłą zmianę uczuł i nasz poeta na początku 1841 r. a główną jej przyczyną była, jak się domyślam, ostatnia miłość, o której tu po raz pierwszy krótką podaję wzmiankę. Wspomina o niej Słowacki w liście do Niedźwiedzkiego doryweczo i lakonicznie, ale łatwo sobie resztę dośpiewać w duszy. Było to na wiosnę r. 1841. Serce poety, długo zimne i spokojne, doznało wiośnianych wzruszeń. „Pękły skrzepło lody.." Wezbrane fale uczucia zatapiały łódkę — ale uspokoiło się jakoś, tylko kolej życia poety zmieniła się: zaczął znów figle płatać, latać za marą szczęścia w różne strony, pojedynkować się, płakać, szaleć, śmiać się—był zakochany.

Wędrowna ta ptaszyna ulepiła sobie gniazdko we Frankfurcie, gdzie przepędził całą wiosnę 41 r. „jak szaleniec bardzo dręczony przez pewną osóbkę." Kto był ową „dręczycielką"—czy owa dama, „która po Czerczy na osiołkach przed dwu laty (1839) jeździła"—nie dowiedzą się ciekawe czytelniczki. Dość, że się znalazła osoba, która zdo-

łała rozbudzić w otrętwiałem i oziębłem sercu niemłodego już kawalera choćby tylko jesienną miłość, kierującą pewien czas ręką autora *Salomei* i *Beniowskiego*. Ile wycierpiał w tej krótkiej, ale nieszczęśliwej miłości, o tem niech powiedzą wymownie jego słowa: „La vie que je mène ici est insupportable — je suis seul—à sa mérci— ayant les entrailles dechirés par elle. Il est impossible que je souffre plus long temps une torture pareille, il faut que je parte— aussi dans dix jours tout au plus — mon petit appartement d'hirondelle me reverra. Oh! qu'il y a desespoir dans cette pensée..“ Rozkochany wrócił w połowie czerwca 41 r. do Paryża, do swoich pustych pokoików na szóstem piętrze przy ulicy „Castellane nr. 11,“ gdzie przeżył w samotności „rozpaczne“ chwile, „łając swemu szalonemu sercu.“ Wreszcie i to minęło—„wszystko było snem smutnym, podobnym do wszystkich snów ludzkich...“ „Ale dobre to wyrwało go z odrętwienia.“ Został tylko ślad—w pugilaresie, napełnionym *uschłymi* kwiatkami sentymentalizmu, naszpikowanego refleksyą...

Z tej epoki frankfurckiej, z której pozostał zaledwie lekki ślad w listach do matki, pochodzi niniejszy list, pisany do Leonarda Niedźwiedzkiego, zajmującego się wówczas wydaniem i korektą *Beniowskiego*. List ten wytłomaczy w części pobyt Słowackiego we Frankfurcie, o którym nic bliższego nie mógł się dowiedzieć Małecki, dorzuca kilka szczegółów o *Beniowskim* i potrąca o wzmiankowaną wyżej miłość poety. Podaję go w przekładzie z francuskiego:

Mój kochany Leonardzie!

Dostałem wreszcie książkę [1]), oczekiwaną tak niecierpliwie i pośpieszam podziękować Ci za nią. Muszę Ci jednak wyznać, że liczne błędy typograficzne zmartwiły mnie cokolwiek. Tyle, tyle ich jest, że zrobiły na mnie wrażenie pcheł, skaczących po prześcieradle. Ledwie otworzyłem książkę, ujrzałem ich miliony i to wielkich, zaręczam Ci... Po powrocie mam zamiar poprawić egzemplarze ołówkiem, tem więcej, że brakuje nawet sylab i nieraz sens zwrotki cierpi na tem.

W ostatniej strofie drugiej pieśni zamiast *łez* jest *tez* [2]). W ostatniej strofie piątej pieśni *gmyłem* zamiast *obmyłem* [3]). Na tytule zamiast *Michelsen*, *Micheison* [4]). Koniec końców, mój przyjacielu, obawiam się, aby krytyka, schwyciwszy to dzieło, nie zaszkodziła mi, przypisując autorowi typograficzne błędy.

Lecz stało się, a jedyną na to radą jest wysprzedać szybko pierwsze wydanie, aby mógz

---

¹) Mowa tu o *Beniowskim*, który, jak się z tego listu okazuje, wyszedł w maju 1841.

²) Zwrotka ta winna brzmieć:

„Jak się rozgniewam na imaginacyą,
Dyabłowi oddam bohatera duszę...
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyą,
A tych, co płakać ze mną nie chcą—zmuszę.
I demokracyą i arystokracyą
Do *łez* głębokich trzecią pieśn'ą wzruszę,
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co—to sercem gryzę.“
(*Beniowski*, koniec pieśni II, I-e wyd. st. 78).

³) Słynna ta zwrotka, zwrócona przeciw Adamowi, ma brzmieć:

. . . · . . . . . Bądź zdrów wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże,
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze —
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.
(*Beniowski*, I wyd. str. 76)

⁴) Tytuł tego pierwszego wydania obecny: „*Beniowski*, poema przez Juliusza Słowackiego. Pięć pierwszych pieśni w Lipsku (rzeczywiście w Paryżu) u Leopolda Michelsena 1841.“ Widocznie poprawiono jeszcze na pewnej ilości egzemplarzy imię wydawcy.

wygotować drugie, dla ukarania zaś zrobię Cię powtórnie jego wydawcą i obarczę napisaniem przedmowy, w której będziesz zobowiązanym przyznać się do grzechu i wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

Niech Cię to nie bardzo zasmuca, mój przyjacielu; ja sam biorę tę rzecz bardzo filozoficznie i nie sądzę, aby krytyka była do tego stopnia głupią i czepiała się mnie po próbce, jaką jej dałem, mojej zręczności i psiej zajadłości. Mam zamiar wrócić wkrótce do Paryża, żyż kilka powodów skłania mnie do tego. Życie, które tu prowadzę, jest nieznośnem: jestem sam — na jej łasce [1])—szarpany przez nią w moich uczuciach. Nie mogę dłużej cierpieć takich tortur — potrzeba, abym wyjechał — a więc za dziesięć dni, jaskółcze moje mieszkanie obaczy mnie znowu [2]). O! ileż jest rozpaczy w tej myśli.

Widziałem tu starego wicedyrektora naszego Kółka, który przejeżdżał przez Frankfurt do Poznania, zawsze wesół, rumiany i zdrów [3]); on pierwszy przywiózł mi wiadomość o śmierci naszego dobrego staruszka J. U. N. [4]). *Inwideo!* I ja wkrótce położę się jak on, ale bez pokoju, jaki daje życie długie i dobrze spędzone. Mój testament będzie krótszym od testamentu dobrego starego poety: westchnienie tym, którzy mnie kochali, przekleństwo tym, którzy mnie nienawidzili a szlafmicę otrzyma Witwi[cki], aby sobie nią nakrywał głowę, wdziewając szlafrok zapisany mu przez Mojżesza. I tak ten dyabeł ma przeznaczenie być dziedzicem poetów. Szkoda, że Niem[cewicz] nie zostawił mu swych nóg, aby mógł pójść na pogrzeb [5]). Żal mi Eustachego [6]), że jego nadzieja ożenienia się została tak nielitościwie zawiedzioną. Sawantki nic nie warte, wiem to z doświadczenia. Trzeba jednak, żeby się pocieszył i zapomniał, ten rok tak nieszczęśliwy dla niego —wszystko mu szło wspak; tylko Romus mu pozostał i piękne mieszkanie... [7]); to jeszcze wiele dla człowieka, którego bogowie opuścili.

Kłaniaj się odemnie Blots [8]), i proś go, aby mnie źle nie sądził, bo jestem dobrym w gruncie i moja namiętna szczerość nie powinna mi szkodzić, gdy się wielką pokonywa i gdy gwiazdą na mem czole zaświeci.

Napisz jeszcze raz, jeżeli myślisz, że list Twój dojdzie mnie przed 8-mym b. m. [9]); jeżeli

---

¹) Ustęp ten odnosi się do ostatniej miłości poety we Frankfurcie.

²) Słowacki mieszkał wówczas na „rue Castellane 11“ w dwóch ładnie urządzonych „klateczkach na szóstem piętrze,“ które opisuje w liście do matki z Paryża w kwietniu 1840 r.

³) Mowa tu zapewne o Ludwiku hr. Platerze, wiceprezesie Towarzystwa historyczno - literackiego w Paryżu, do którego należał i Słowacki (Patrz cenne dzieło L. Gadona *Z życia polaków we Francyi*, Paryż 1883).

⁴) J. U. Niemcewicza, który zakończył życia w Paryżu d. 21 maja 1841. (Patrz *Dziennik narodowy* 1841, nr. 9).

⁵) Stefan Witwicki, o którym tu tak sarkastycznie wyraża się Słowacki, cierpiał na podagrę. Nie lubili się wzajemnie. Patrz *Tygodnik literacki* red. przez A. Woykowskiego, 1840, nr. 20.

⁶) Zapewne Eustachego Januszkiewicza.

⁷) Januszkiewicz mieszkał wówczas na rue d'Echaudé nr. 6, na drugiem piętrze. Pierwsze, jeszcze nieukończone, stanowiło jedną wielką salę, którą uporządkował Januszkiewicz. Tutaj odbyła się owa słynna uczta w wigilię Bożego Narodzenia 1840 r., wyprawiona przez Eustachego, przyjaciela Adama jeszcze z czasów wileńskich, z powodu otrzymanej katedry w *Collège de France* i z okazyi urodzin i imienin Adama. (Porównaj list Januszkiewicza do A. Małeckiego z 7 kwietnia 1867 r.). Improwizacya Słowackiego a potem jego pojedynek musiały wiele wyrządzić przykrości gospodarzowi domu, o czem tu zlekka i ogólnie napomyka Słowacki.

⁸) Zapewne Błotnickiemu. Sędziwy ten staruszek, żyjący jeszcze w Paryżu, był pierwszym nauczycielem Słowackiego. Wówczas mieszkał w Paryżu na „rue et Ile st. Louis 2.“

⁹) Data ta Słowackiego jest fałszywą. Z dwóch pieczęci pocztowych, wyciśniętych na kopercie, można powiedzieć *na pewne*, że list był pisany dnia 1 *czerwca* 1841 r.

nie, zachowaj mi swą przyjaźń i oczekuj sercem przyjaciela, bardzo mi tego potrzeba, o tak, bardzo. Żegnam Cię

Twój kochany
Juliusz.

[We Frankfurcie], dnia 1 maja 1841 [1]).

[Adres]: A Monsieur Monsieur Léonard Niedźwiecki à Paris Rue du Faubourg du Roule 25.

[Pieczęć pocztowa]; „Francfurt 1. Jun 1841 1—2 TTR. 2“ [i druga] „Paris 4. Juni 41.“

LIBERUM VETO.

Wymówka korespondentki. — Grzech przeciwko miłości. — Kilka pytań z twierdzącą odpowiedzią. — Zięba i Kochańska, pająk i Pająkowski. — Co to jest idealność. — Biesiada pod imieniem p. Marrené. — Trudność wyrażenia szacunku żołądkiem. — Uczta olimpijska. — Albo tercyarka, albo buntownica. — Ubezpieczenie od głodu i jubileusz ubóstwa. — Schenk u nas. — Ostrożnie z hypotezą. — Plotki. — Sprzedaż akcyi kolei Nadwiślańskiej. — Gęste powietrze i cienki palec.

„Jak to, więc Kotkowski w salonie *tak samo* kocha, jak kot na dachu? Więc pan nie dostrzegasz różnicy między miłością człowieka a zwierzęcia? Doprawdy, nie rozumiem, co znaczy to bluźnierstwo! Jeżeli nauki przyrodnicze i wykarmiona przeznie filozofia, czy fizyologia prowadzą do takich wniosków, to lepiej niech na ich miejscu rośnie kąkol. Na szczęście, chociażby kto najmocniej pluł, śliny przez wielką górę nie przerzuci. Miłość zaś w swych *idealnych* wyżynach jest taką wielką górą, na której szczycie żadne zwierzę nie żyje. Otworzę panu własne serce i pokażę...“

Tu muszę przerwać, gdyż szanowna korespondentka dla mnie tylko otworzyła swój skarbiec, zapewne w nagrodę za napomnienie, którego zaledwie drobną cząstkę przytoczyłem.

Ach, mój patronie, czy ja się spodziewałem, że w tak wczesnym wieku i postnej porze przeciw miłości zgrzeszę, nawet pozornie! Kapłanko Wenery niebiańskiej, która uderzyłaś we mnie całym sajdakiem Kupidyna, posłuchaj. Z okrąglaków zbudowana i słomą poszyta chałupa jest równie domem, jak ozdobna murowana kamienica? Tak. Jabłonka polna, rodząca cierpko-gorzkie owoce, jest równie jabłonią, jak i reneta? Tak. Czy wspaniały parowiec, mieszczący w sobie wygodne dla podróżnych pokoje i przebiegający 4 mile na godzinę, powstał z prostego czółna, popychanego kółkami? Tak. Więc dlaczegóż, o najczulsza, nie chcesz przypuścić, że między miłością ludzi a zwierząt istnieje chociaż odległe pokrewieństwo? Brak ostatniej poświęceń? Alboż zoologia nie zapisuje samobójstw i nagłych śmierci samców i samiczek po śmierci towarzyszki lub towarzysza? Jeżeli w łańcuchu biologicznym porównamy dwa oddalone od siebie ogniwa, są one bardzo różne, ale to nie znaczy, ażeby były zupełnie oderwane. Piękniejszym jest śpiew Kochańskiej, niż zięby, ale nie mamy prawa twierdzić, że zięba nie śpiewa. Objawy uczuć ludzkich różnią się od zwierzęcych tylko *stopniem* doskonałości i rozwoju; gdy wszakże zaczniemy śledzić rodowód, musimy dojść do wspólnego ich źródła. Czy może być coś bardziej niepodobnego, jak prezydent Rzeczypospolitej francuskiej i jego ojciec, prosty wieśniak? A przecież ów ukształcony, gładki, szlachetny dygnitarz jest rodzonym synem nieoświeconego i grubego chłopa. Tenże sam wypadek zachodzi z miłością. Gdy poetyczny i rozumny mło-

---

¹) Widocznie wybierał się Słowacki z Frankfurtu do Paryża 8 czerwca 1841.

dzian oświadcza się poetycznej i rozumnej dziewicy, jużci nie przypomina on kota, a zwłaszcza ona kotki; rozbiorzmy jednak trzeźwo ich uczucia z tych pięknych łupin, które im cywilizacya nadała, a wyłuskamy ziarno wspólne całemu stworzeniu organicznemu. *Idealne* wyżyny! Za szczerość w piekle nikt nie siedzi, więc wyznaję, że najczęściej nie rozumiem, co jest *idealizm*. Idealne kalafiory, idealne wojsko, idealny lokaj, idealny kort i... idealna miłość! Jakaż więc? Najdoskonalsza? Dobrze, jeżeli jest idealny kalafior, dlaczego i jakiś popęd zmysłowy nie mógłby być idealnym? Co do mnie, używam tego wyrazu nietylko w znaczeniu doskonałości, ale także (przy ocenie uczuć) w znaczeniu bezinteresowności. Otóż, czy Pająkowski, doznający miłosnych dreszczów na widok powabnej dziewicy, jest idealnym, a pająk wobec samiczki nie? Sądzę, że gdyby nawet ów Pająkowski i przyszła jego żona, zamieniając pierwsze spojrzenia i westchnienia, nie uświadamiali sobie wcale siły naturalnej, która ich wzajemnie pociąga, mimo to owa siła w nich istnieje i działa tak samo, jak chęć jedzenia działa w urządzających kolacye jubileuszowe, chociaż się nazywa uczczeniem zasług. Między miłością zwierząt a ludzi zachodzi taka różnica, jak między ucztą wilków w lesie przy zamordowanym koniu a biesiadą literatów, spożywających w ozdobnej sali smaczne potrawy, wznoszących toasty i prawiących mowy na cześć tryumfów ducha ludzkiego.

Według tej miary biesiada, wyprawiona zeszłego tygodnia pani Marrené w Resursie obywatelskiej, była możliwie idealną. Jubilatka otrzymała pamiątkowe dary i pewien fundusz do rozdania między biedne uczennice, a jej przyjaciele i koledzy nie potrzebowali dowodzić swego szacunku aż do... niestrawności. Łatwiej mi pojąć nieskończoność, niż przejadanie i przepijanie po kilka tysięcy rubli dla złożenia komuś hołdu. Byłoby to może odpowiedniem na cześć p. Rejnera lub Victora, ale nie na cześć pisarza lub artysty. Z naszych też jubileuszów zwykle najwięcej korzystają — kucharze, bo naprzód mają zarobek, a powtóre oszczędności. Chociażbym najmocniej kochał i najbardziej cenił Królikowskiego, Żółkowskiego lub Kostrzewskiego nie podjąłbym się dla wyrażenia im szacunku zjeść różnych potraw za 5 a tem mniej za 7 rs. Przypuszczam zaś, że między biesiadnikami takich niedołęgów jest wielu — kucharz zatem korzysta na nich dostatnio. Otóż takiego poświęcenia nie wymagano od przyjaciół talentu p. Marrené. Jak w Olimpie — jedli oni tylko słodycze i popijali nektarem tak umiarkowanie, że każdy wczas, świadom swej drogi i celu, powrócił do domu, a żona nie potrzebowała mu przykładać do głowy kompresów z zimną wodą. Co do samej bohaterki obchodu — zasłużyła ona według mnie na publiczny wyraz zbiorowego uznania. Pani Marrené naprzód jako kobieta, a powtóre jako pisarka wyrosła w dawniejszej atmosferze literackiej nie mogła otwarcie stanąć do walki pod chorągwią „młodych“ (dziś już siwiejących) do walki, w której oprócz starć umysłowych trzeba było wytrzymywać ulewy błota i grady wymysłów. Zawsze ona jednak była — w coraz szerszym zakresie — duchem przeciwko głupstwu tego świata zbuntowanym. Naprzód protestowała w imię serca, a potem w imię pogwałconych praw społecznych. I nad nią unosił się ognisty miecz archanioła, który mści zrywanie owoców z drzewa wiadomości, i ona podnosiła swoje... *liberum veto*. Zresztą kobieta pisząca u nas ma tylko dwie drogi: albo musi zostać tercyarką literatury, albo jej buntownicą.

Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia postanowiło choć w części ubezpieczyć swych urzędników od głodu i na ten cel wyznaczyło 8,000 rs. Przy rozdziale tej sumy nie będzie podobno zachowaną chwalebna zasada, że kto ma najwięcej, dostanie najwięcej. Powiedziałbym: szkoda, że Towarzystwo ubezpiecza swych ubogich na wiosnę a nie w zimie — gdyby mi na pamięci nie stały rozmaite „zatwierdzone“ gratyfikacye kolejowe, które cukrują się, jak figi, po kilka miesięcy i obiegłszy w radosnej nowinie wszystkie pisma, potem za długo odpoczywają. A wiecie też, co to jest właściwie gratyfikacya? Jest to darjubileuszowy dla głodomorów za wieloletnie zasługi. Kapitalista (pojedynczy lub zbiorowy) nagradzając cierpliwość i wytrwałość swoich pracowników, którzy o chłodzie i głodzie wydobywali dlań zyski, w dowód wdzięczności daje im prezenty, tak jak my dajemy je Jeżowi, Kraszewskiemu i Marrené za pracę literacką lub Królikowskiemu i Żółkowskiemu za aktorską. Niedostatek jest równie pracą — i to bardzo ciężką. Trudniej 25 lat przegłodzić się i przemarznąć, niż pisać powieści, że zaś społeczeństwo więcej ceni owoce trudów ostatnich — to kwestya jego korzyści. Na tem, że ktoś ćwierć wieku nie dojadał— ono nic nie zyskuje, więc też goręcej istotnie czci jubilatów nauki i sztuki, niż ubóstwa. Zaledwie tylko czasem jakieś Towarzystwo ubezpieczeń na taką skromną owacyę się zdobędzie.

Wiedeński zabójca posażnych kucharek H. Schenk, który — jak mówi poeta — ma niedługo „pożegnać świat nogami,“ stał się zbyt sławnym, ażebyśmy nie uczuli w sobie łatwej do przebaczenia chętki przeniesienia jego operacyj i na nasze pole. Gdy go uwięziono, połowa kucharek austryackich przyznawała się do jego pokuszeń. Z kolei i nam zaczyna on się przypominać. W roku zeszłym odwiedził jednego z obywateli sandomierskich jakiś baron Rose, który namawiał go do przerobienia gorzelni na fabrykę makuchów rzepakowych. Mógłże to być kto inny, niż Hugo Schenk? Przypuszczenie tak proste, że usuwa wszelkie wątpliwości. Z drugiej strony wszakże nie chciałbym, ażeby ta hypoteza znalazła zbyt szeroką wiarę, bo na jej podstawie pewne pisma, z naszą prasą bezpośrednio sąsiadujące, gotowe ogłosić, że ów zbrodniarz był polakiem i miał zupełnie inne cele, niż mordowanie służących. Nie żartuję: gdzie są granice wiedzy, probował wykazać nawet p. Kozietulski; ale gdzie są granice zmyślenia, tego nikt ze śmiertelnych nie oznaczy. Niedawno przytoczyliśmy zaprzeczenie *Praw. Wiestnika* co do kilku punktów pomysłowości *Now. Wremieni*; obecnie inżenier Jahołkowski zastrzelił inną z tegoż gniazda kaczkę. Mianowicie *N. Wremia* doniosło, że p. Kronenberg sprzedał na giełdzie berlińskiej $^{2}/_{5}$ akcyj kolei Nadwiślańskiej, poddawszy ją tym sposobem pod przeważny wpływ bankierów niemieckich. Tymczasem p. J. wykazuje, że z 65,000 sztuk akcyj 55,000 jest w posiadaniu rządu i kupców rosyjskich. owe zatem $^{2}/_{5}$ i „wpływ“ są płodem bujnej imaginacyi. Niemcy takie plotki nazywają „chwytaniem z powietrza“ a my „ssaniem z palca;“ jeżeli więc powietrze otaczające korespondentów rosyjskich nie jest zbyt gęstem, to ich palce muszą już być bardzo cienkie. Pisma zagraniczne, przytaczając wiadomość z gazet rosyjskich, zwykle w nawiasach dodają zastrzeżenie: „źródła niepewne;“ czy by nie należało postarać się o zniesienie tych nawiasów i zastrzeżeń?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wędrowni prelegenci.—Ruchoma wystawa.—Przyjazd Stöckera.—Pękająca solidarność żydowska. — Klątwa rabina. — Nauczyciel jako niedźwiedź. — Pinczowskie adnotacye i płockie dąsy. — Figi. — Dyszel mniejszej własności.

Ehrenfeucht jedzie! Był już w Lublinie i pouczał piękne jego mieszkanki, czem jest miłość (jak gdyby one nie wiedziały o tem lepiej od prelegenta), teraz dąży do Płocka, potem do Łodzi, Piotrkowa itd. Temat to zupełnie na czasie, bo poczynająca się wiosna u wszelkich tworów żyjących wywołuje „natężenie wrażeń,“ z którego wykwita cudny kwiat miłości. Kwiat ten po upływie określonego w podręcznikach fizyologii czasu przynosi owoce; wtedy zapewne niespracowany, p. Ehrenfeucht wygłosi nowy odczyt—o wychowaniu dzieci. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Pomijając komiczną stronę tych wędrówek odczytowych, wskazują one, że prowincyonalna publiczność spragnioną jest duchowej karmi. Siły miejscowe rzadko zdobywają się na inicyatywę w tym względzie, oprócz Skierniewic — nie wiele słychać o innych odczytach. Czyby lepsi prelegenci warszawscy nie mogli urządzić całej seryi popularnych wykładów dla prowincyi — przykłady były i powiodły się.

Nie poskarży się zapewne na brak poparcia projektowana przenośna wystawa dzieł sztuki. Myśl tę podał Towarzystwu Zachęty sztuk pięknych jeden z jego członków; wystawa objeżdżać ma miasta gubernialne i raz na rok zawitać do Wilna i do Kijowa (w czasie kontraktów). Towarzystwu przyniesie ona bezwątpienia spory dochód i rozbudzi poczucie estetyczne w mieszkańcach prowincyi. Wtedy chyba niemożliwem okaże się taki kierunek, jaki cechuje restauracyę kościołów wileńskich, w których marmury pociągnięto farbą olejną, pobielono po raz nie wiem już który artystycznie wykonane gipsowe posągi a nawet zamalowano napisy na ścianach. Biada nad tem korespondent *Wieku* i przewiduje, że okażą się potrzebnymi nowe fundusze na przywrócenie zniszczonych zabytków starożytności do pierwotnego stanu.

Zachęcony powodzeniem p. Ehrenfeuchta wybiera się do Łodzi słynny pastor Stöcker. Zaniepokoiło to wielu semitów, a *Woschod*, organ żydów rosyjskich, wzywa nawet interwencyi władz policyjnych.

Solidarność żydowska, spać niedająca niektórym publicystom, przy wzrastającem codzień współzawodnictwie stanie się wkrótce mitem. W Fastowie np. monopol sprzedaży świątecznego wina miał miejscowy izraelita; w tym roku znalazł jednak konkurenta. Ale nowo przybyły śmiałek źle wyszedł na swem przedsiębiorstwie, bo pewnej nocy wszystkie beczki okazały się przedziurawionemi a wino wyciekło. W Mińsku znowu młodą żydówkę przybyłą z prowincyi zrabowali i pokaleczyli jej współwyznawcy, których pytała o drogę. O solidarności plemienna! — gdzie jesteś?

Odnajdziemy, jeżeli nie ją, to przynajmniej równoznaczny despotyzm kahału w tym samym Fastowie, w którym pod wpływem handlowego współzawodnictwa pękły nici łączące dzieci Izraela. Pewna żydówka znalazła w kupionej u rzeźnika kiszce kawałek gwoździa. Kiszka, niestety, była już ugotowaną i w części zjedzoną. Strapiona niewiasta biegnie do rabina, który porozumiawszy się z innymi przedstawicielami gminy, wydał wyrok, że nietylko kiszka, ale i wszystko mięso pochodzące z zabitego wołu było trefne, tem samem trefnemi okazały się również naczynia, w których je gotowano. Wartość zniszczonych sprzętów wynosi przeszło 1,000 rs. a mieszkańcy skazani byli na przymusowy post, ponieważ nowych nie mogli odrazu dostać. Podobno w ten sposób rabin i kahał zemścili się na swych owieczkach za jakieś przeniewierstwo pieniężnej natury.

Nie zagłębiając się w tajemnice Talmudu i kahałów, skłonny jestem podobne wypadki objaśniać jedynie brakiem oświaty, której nam daje klucz do rozwiązania wielu

ciemnych zagadek życia prowincyi. Ale skąd weźmie się światło, kiedy ci, co mają je krzesać, rekrutują się bądź to z dymisyonowanych felczerów weterynaryjnych, bądź przychodzą z tak odległych stron, że na żaden sposób porozumieć się nie mogą ani z uczniami, ani z ich rodzicami. Świeżo fakt taki zdarzył się w pinczowskiem: sprowadzono tam pedagoga, który z nikim rozmówić się nie mógł i uczniowie co do jednego opuścili szkołę. Wszakże nawet jeżeli nauczyciel odpowiada wymaganiom, trudno mu niezmiernie wywierać wpływ pożądany. Na nieszczęście nie posiada on natury niedźwiedzia, który przez parę miesięcy w roku zadawala się lizaniem własnej łapy, ale jak każdy zwyczajny człowiek potrzebuje jeść, chociażby raz na dzień. Może to i nieuzasadnione życzenie, ale trudno, żołądek dopomina się o swoje prawa. Czyż jednak może jeść przynajmniej raz na dzień człowiek, który otrzymuje 60 — 70 rs, pensyi, człowiek, który na tyle przejął się już cywilizacyą, że pragnie nosić, chociażby dziurawe zresztą, buty? Taką niestety jest pensya wielu nauczycieli w gubernii kieleckiej, nawet po otrzymaniu w bieżącym roku podwyżki, która na całą gubernię wynosi 658 rubli! Dla porównania dodać należy, że stróże w Kielcach, zajmujący się oświecaniem miasta, dostają rocznie 157 rubli przy bezpłatnem mieszkaniu z opałem.

A jednak pomimo niepomyślnych warunków lud garnie się do oświaty i zaczyna pojmować jej wartość. W Zawierciu otworzono niedawno odrazu dwie czytelnie; i inicyatorem był prosty włościanin Szafruga, a na fundusz potrzebny złożyli się okoliczni chłopi i robotnicy fabryczni.

Czytelnie takie powstawałyby częściej, gdyby znalazły zachętę i potrzebne wskazówki; brak ich uczuć się daje nietylko po wsiach, lecz i po większych miastach. Ale inteligencya prowincyonalna niema czasu zajmować się takiemi głupstwami. Apatya i ciasny egoizm usposabiają ją wrogo dla każdej działalności, mającej na widokn ogólne dobro a nie osobisty interes. W Łowiczu np. podczas pożaru obywatele wiejscy i miejscy nie dawali koni, kiedy zaś na ulicy gwałtem chciano je wyprządz, właściciel powozu kazał stangretowi uciekać. W szalonym pędzie konie potratowały kilku przechodniów. W ten sposób u nas spełniają się czasem obowiązki społeczne!

W Pinczowie urządzono wieczór, z którego dochód przeznaczono na szpital, straż ogniową i wsparcie dla uczniów. Godnemi uwagi są dopiski na zwracanych przez inteligencyę wiejską zaproszeniach: „Bywam w Pinczowie codzień, zatem listów z miasta nie odbieram (?)“ — „niemam w mieście znajomych, więc na balu nie będę.“ Jeden wspaniałomyślniejszy przysłał rubla, zamiast dwóch należnych za bilet, z adnotacyą: „posyłam rubla, przeznaczam go na szpital, z którego korzystać nie będę, na straż, która nie przynosi mi żadnej korzyści i na uczniów, którzy nie mając funduszu, nie powinni się kształcić.“ Zasiew *Niwy* — wydaje już plony; mój Boże, jak to szybko głupota u nas dojrzewa!

Inteligencya rawska zajęta jest rozstrzygnięciem kwestyi niezmiernej wagi. Właściciel miejscowego browaru znalazł współzawodnika, ktory sprowadza piwo z Warszawy. Ojcowie miasta, korzystając ze zniżonych cen, próbują obu gatunków i ostatecznie wyrzec mają o wartości swojskich i sprowadzanych napojów. Dotychczas jednak pomimo wypicia ogromnej masy gambrynusowego nektaru nie przyszli do stanowczych rezultatów.

Lepiej jeszcze bawią się w Płocku. Podczas postu w resursie urządzano bywają wieczorki familijne. Dotychczas nic miały one wielkiego powodzenia, dowcipni kierownicy instytucyi odnaleźli jednakże przyczynę tego i postarali się ją usunąć. Okazało się mianowicie, iż inteligencya płocka dlatego nie okazuje chęci do zabawy, że krzesła ustawiane były rzędem. Niedogodność tę usunięto, stoliki i krzesła rozstawiono w ten sposób, że goście mogą się podzielić na odpowiednie kółka, stosownie do zajmowanej pozycyi towarzyskiej—i zabawa poszła raźniej. Według naszej salonowej logiki, dobrze wychowana panna w tańcu może spoczywać w objęciu każdego, nawet ostatniego nieponia i szubrawca, ale córka prezesa nie może bez obawy skompromitowania się rozmawiać z kancelistą.

Pisma nasze, pochowawszy ostatniego już chyba napoleończyka, zajęły się wynajdywaniem w kraju... figarni. Dotychczasowe poszukiwania doprowadziły do rezultatu, stwierdzającego, że mamy takich zakładów trzy. Jeżeli figarnią nazwiemy zakład produkujący figi, to z pewnością połowa gospodarstw wiejskich przynajmniej w przenośnem znaczeniu zasługuje na tę nazwę.

W każdym razie zalecanie hodowli fig w kraju, który jabłka nawet sprowadza z zagranicy, jest nieco oryginalnem. Zresztą my w oryginalności nie damy się nikomu ubiedz.

Gazeta lubelska opowiada niezwykłe zdarzenie. Jakiś pijany chłop, niemający widocznie pojęcia o różnicy społecznego stanowiska, najechał na powóz, w którym siedział przedstawiciel większej własności i przebił dyszlem *na wylot...* uspokójcie się, nie pana, lecz konia. W każdym razie dziwny to musiał być dyszel, kiedy przez całą długość konia przebił go na wylot, boć chyba z boku nie najechał, a zresztą kto wie— dla nikczemnej nienawiści chłopskiej nie ma nic niemożliwego!

X. X.

Szczuczyn. Parcelacya rozszerza się coraz bardziej; obecnie włościanie zakupili już i rozkolonizowali trzecią część folwarków w powiecie. W Grajewie i jego okolicach powstało kilka nowych zakładów fabrycznych, ale zarządzającymi są sami niemcy.

Ihumeń. Stada zgłodniałych wilków napadają na wsie i osady. W jednej wiosce kilkunastu ludzi zostało przez nich pokaleczonych.

Włocławek. Wiadomość podana przez *Gazetę Warszawską* o zniesieniu w tutejszej szkole realnej dwu pierwszych klas pozbawioną jest nietylko prawdy, ale i zwykłego sensu. Do klasy 3 rzadko kto wprost wstępuje, zniesienie więc 1 i 2 uczyniłoby niemożliwem istnienie szkoły.

Rossienie. Istniejące tu towarzystwo hodowli koni rasy żmudzkiej, mające czysto gospodarskie cele, pod wpływem kilku członków zamienia się na instytucyę sportu, Dla zaakcentowania nowego zwrotu w czerwcu odbyć się mają wyścigi. Ciekawem jest, że większość członków sprzeciwiała się temu, ale niechętni musieli uledz—jak powiada korespondent *G. polskiej* — przewadze, nie liczebnej—a więc jakiej? bo chyba nie przewadze rozumu.

Łódź. Przedsiębiorstwo zaprowadzenia tramwayów zawarło z miastem kontrakt. Wbrew przysłowiu: mądry polak po szkodzie—wszystkie niedogodności i wady, jakiemi odznaczają się tramwaye warszawskie, nie zostały usunięte. Będzie więc dwie klasy, nie będzie biletów korespondencyjnych itp.

Z prowincyi odbieramy następującą replikę przeciw wywodom p. Nil (nr. 10 *Prawdy*) co do lekarzów i felczerów, którą po usunięciu nienależących do rzeczy wycieczek osobistych podajemy:

Działalnością felczerów, jak prawo wymaga, jest: stawianie baniek i pijawek, puszczanie krwi, przykładanie kompresów i kataplazmów, bandażowanie ran, dawanie lewatyw, a to wszystko z wyraźnych jedynie zaleceń lekarskich; samemu felczerowi nie wolno nawet krwi puścić, bez narażenia się na surową odpowiedzialność. Również nie wolno mu stosować żadnych środków, przepisywać z apteki żadnych silnie działających preparatów. Jest to zastrzeżonem przez prawo. Ponieważ zaś lekarz sam stawianiem baniek i pijawek etc. nie zajmuje się, więc też i konkurować w tym kierunku z felczerem nie może.

Dalej szan. autor zanosi prośbę maleńką do mężnych rycerzy medycyny, ażeby ograniczyli się do zniesienia felczerów w Warszawie a pozostawili ich na prowincyi. W prośbie tej widzimy upatrywanie pożytecznej działalności tam tylko, gdzie widnieje korzyść materyalna, a jakkolwiek jest to pogląd bardzo praktyczny i niby na dobie, ogół przecież wykształceńszy jeszcze coś robi dla dobra niekoniecznie osobistego.

Twierdzi autor dalej, że chłop stanowczo nie uda się po radę do doktora, lecz tylko do felczera lub znachora. Dowodzenie takie jest zupełnie nieprawdziwem, bo już i teraz większość mamy wieśniaków, którzy chociaż instynktownie umieją wyróżnić człowieka nauki od szarlatana; w razach przeciwnych mniemam, że tylko smucić się należy, iż prostaczkowie chodzą po manowcach, tracą swój najdroższy skarb—zdrowie, a ich niby starsi bracia zamiast oświecać, popychają w odmęt ciemnoty. Wieśniak trochę rozsądniejszy udaje się do lekarza, ciemny zaś dlatego udaje się do niedouka, że ten właśnie nie obchodzi się z nim po ludzku, lecz go tumani, okłamuje, wyzyskuje, tłomaczy mu cudowne skutki swej praktyki przy kieliszku wódki i miłej pogawędce z panią Maciejową o kurach i prosiętach.

W Rosyi wcale lepiej się nie dzieje przez utworzenie nietylko ziemskich felczerów, akuszerek, ale i lekarzów. Każdy z nich, mimo że opłacony jest przez ziemstwo stale, bierze wynagrodzenie od chorego; pensya jast uważana tylko jako zapomoga. Nie lekarz *St. Ob.*

Według nas, autor repliki przypisuje p. Nilowi zbyt wrogie zamiary względem lekarzów i zbyt ojcowskie względem felczerów. Uwagi bowiem p. N. dałyby się skrystalizować w taki wniosek: lekarz jest dla chłopa dotąd za drogim i nieprzystępnym: skutkiem tego felczer jest na wsi potrzebnym; zamiast go więc z niej wyganiać — „lepiej postarać się o przyzwoitych felczerów, zreformować odpowiednio ich szkołę, podniósłszy poziom wymaganych od uczniów klasyfikacyj.“ W tym wniosku chyba prawda tkwi. *Red.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 marca.

Bismark przemówił. — Rozprawy w parlamencie niemieckim.—Odpowiedź Tiszy.—Areszty w Peszcie. — Wzajemne ustępstwa. — Powodzenie francuzów w Tonkinie i wątpliwe zwycięstwo anglików.—Śmierć Selli.

Po długiem milczeniu Bismark wystąpił z mową w parlamencie niemieckim; trwała ona kilka godzin i obracała się głównie około projektów reform socyalnych. W innem miejscu wspominamy o wyznaniu wiary kanclerza w tej kwestyi; tu zaznaczymy tylko, że zaraz na wstępie, kiedy potrącił o sprawę adresu amerykańskiego z powodu śmierci Laskera, wywołał burzę. Bardziej jeszcze gwałtowne rozprawy odbyły się na drugi dzień; rząd przez ministra Puttkamera odpowiadał na interpelacyę, dotyczącą rozruchów antisemickich w Szczecinku. Minister twierdził, że wywołali je sami żydzi, a pastor Stöcker przemówieniem swojem dolał oliwy do ognia. W Izbie wszczęła się wrzawa i wzajemne obelgi, tak że np. postępowiec Haenel nazwał działalność Stöckera—podłością.

Obecnie parlament rozbiera projekt prawa o zabezpieczeniu robotników na wypadek kalectwa. Zatwierdzenie jego, jak również przedłużenie ustawy przeciw socyalistom zależnem jest od poparcia centrum. Nowoutworzona partya wolnomyślna liczy

110 głosów, jeżeli do opozycyi doliczymy alzatczyków, duńczyków, demokratów i socyalistów—stronnictwo nieprzychylne rządowi posiadać będzie 150 głosów. Różneodcienia konserwatystów i niedobitki narodowo-liberalnych wynoszą zaledwie 120 głosów — centrum więc rozporządzające 106 głosami (i kilkanaście polskich) decyduje o każdem prawie. Za współudział swój żąda ono nowych ustępstw, tym razem w kwestyi wychowania księży i organizacyi seminaryów. Żądaniom jego musi rząd zadośćuczynić, albo w razie przeciwnym rozwiązać Izbę.

W parlamencie węgierskim Tisza odpowiadał na interpelacyę Helfy'ego, o ile przymierze Rosyi z Niemcami wpłynęło na stosunek tego ostatniego państwa do Austryi. Jakkolwiek prezes gabinetu złożył uspokajające oświadczenie, nie zadowoliło ono opinii publicznej, która słusznie uwierzyć nie chce, żeby najpotężniejsze prawie w Europie mocarstwo zgodziło się grać podrzędną rolę. Rząd austryacki, chcąc nie chcąc, uznać musiał fakt spełniony i stara się go przedstawić w najkorzystniejszem dla siebie świetle; przyszłość dopiero okaże, o ile to optymistyczne zapatrywanie było uzasadnionem. *Pester Lloyd* występuje otwarcie przeciw polityce rządu; artykuły w tej sprawie pisuje podobno hr. Andrassy.

Dotychczas jednak nowi sojusznicy okazują względem siebie bardzo pojednawcze usposobienie; w tym duchu rozumieć należy odwołanie rosyjskich pełnomocników Jonina z Bulgaryi i Persianiego z Belgradu. Rząd węgierski wystąpił energicznie przeciw anarchistom, którzy przenieśli swoją działalność z Wiednia do Pesztu. Zarządzono liczne aresztowania i odkryto mnóstwo kompromitujących dokumentów. Policya w naiwności ducha twierdzi, że ucięła głowę hydrze rewolucyi socyalnej; niedługo zapewne wypadnie jej rozczarować się w tym względzie.

Francuzi w Tonkinie zdobyli wreszcie Bac-Ninh i zamyślają obecnie o zajęciu innych, dalej leżących miejscowości, których zdobycie okazało się jakoby koniecznem. Podobno poselstwo chińskie zamierza opuścić Paryż; dotychczas jednak nie zdecydowało się na ten krok.

Anglicy pobili również Osmana-Digmę, ale to zwycięstwo nie przyniosło wielkich rezultatów. Pomimo starań Gordona ocalenie pozostawionych w Sudanie załóg egipskich staje się coraz bardziej wątpliwem. Od kilku dni powstańcy przecięli telegraficzną komunikacyę, nowe więc wiadomości nie przychodzą, rząd angielski zapewnia jednak parlament, że nic złego nie zaszło. [illegible]adomiar kłopotów Egiptowi grozi nie na[illegible]rty finansowe bankructwo. Niepowodze[illegible]a nad Nilem i zajęcie przez Rosyę Mer[illegible]u podkopały nieco gabinet, omal nawet go [illegible]ie straciły. Radykaliści porozumieli się [illegible]torysami i ci ostatni poparli rezolucyę [illegible]abouchéra, wyrażającą wotum nieufności [illegible]la rządu w sprawie sudańskiej. Gabinet [illegible]wyciężył zaledwie większością kilku gło[illegible]ów; Gladstone w razie porażki parlamen[illegible]arnej zdecydowany jest rozpisać nowe wy[illegible]ory.

Parlament włoski stracił jednego z najwybitniejszych swych członków, Sellę, b. ministra i jednego z przywódców prawicy. Przedstawiciele wszystkich partyj, pomimo różnicy przekonań, oddali cześć zasługom zmarłego.

Praga czeska. Wskutek uchwał klubu czeskiego zapanowała jednomyślna gotowość do traktowania z niemcami w sprawie uregulowania w drodze administracyjnej przepisów językowych. Niemcy wszakże nie chcą już teraz wejść w rokowania twierdząc, że pod dzisiejszym rządem ugoda jest niemożliwą i oświadczają gotowość do niej tylko w razie, jeżeli ustąpienie hr. Taaffego przyjętem zostanie za warunek *sine qua non*. Pokazuje się tedy, że ugodowe frazesy koteryi Herbsta były prostym manewrem opozycyjnym, aby przez ugodę poza plecami rządu, rząd ten obalić.

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

O drzewach naszych.

(Jankowski).

Już sam przedmiot odczytu, zrozumiany tak, jak go zrozumiał prelegent, uniemożliwił wszelkie rozleglejsze zadanie. Bo co ciekawego i pouczającego można było powiedzieć niespecyalistom, opisując wszystkie po kolei gatunki drzew i zapewniając, że każde jest najpiękniejszem, najprzyjemniejszem, najpożyteczniejszem, najmilszem, każde. wydając zupełne lub pręcikowe i słupkowe kwiatki, jako rezultat przynosi owoc tego lub innego kształtu; pożytek z każdego aż nadto dobrze wszystkim jest znany, jeśli nie z kursu nauki poglądowej, wysłuchanej w najniższych klasach, to z codziennego życia. Prelegent więc i pod tym względem musiał się kręcić wzakresie znanych i oklepanych wiadomości. A nawet gdyby p. J. mógł tu coś nowego powiedzieć, to śród nużących jednostajnością opisów, wszystko zginęłoby, nie pozostawając w pamięci słuchaczów nawet do chwili opuszczenia sali.

Temat i sposób traktowania możnaby było choć w części usprawiedliwić, gdyby odczyt był wypowiedziany, dajmy na to, o dwa miesiące później, t. j. wtedy, gdy wszystkie drzewa rozkwitną, a wiele z nich dostanie już i liści. Karty, mające wyobrażać części pojedyncze rośliny, były zaledwie naszkicowane, niekolorowane, a więc niezrozumiałe. Przez afisze zapowiedziane „okazy“ daleko prędzej przydałyby się w starożytnym Rzymie liktorom jako „fasci“ lub zwolennikom również może starożytnego systemu wychowania jako przekonywający argument dla młodocianego wieku. Nawet o tego rodzaju „pożytku“ prelegent pamiętał, bo nie zapomniał nam go przypomnieć w efektownem zakończeniu pierwszego odczytu przy opisie brzozy.

Czując suchość i jednostajność swojego przedmiotu, starał się go ożywić. Opisy „martwej przyrody,“ „cienistych gajów,“ „tajemniczych szeptów drzew,“ „brodatych“ czy „niebrodatych,“ „sędziwych,“ „zadumanych“ czy „płaczących“ są to wprawdzie rzeczy piękne, ale oklepane po tysiąc razy w byle ćwiczeniu każdej pensyonarki, opisującej pobyt na wsi. Trzeba talentu, by malując podobne obrazy z natury, nie wpaść w tuzinkową banalność. Takie wysiłki nie są ani nauczające, ani porywające i tem bardziej rażą, gdy są wypowiadane suchym, twardym i ostrym głosem.

Niezrozumiałem też jest, co znaczyły teleologiczne figury miejscami powsadzane w wykład. Heine dostatecznie chyba scharakteryzował teoryę celowości w przyrodzie. Rozmawiając z pewnym mieszczaninem Harcu, rzekł: „Tak, masz pan racyę, przyroda jest doskonale celową: oto ona stworzyła wołu, by z niego był smaczny bulion; stworzyła osła, by człowiek miał wieczny przed sobą obraz dla porównań; w końcu stworzyła człowieka, aby jadł bulion i nie był podobnym do osła.“

Rozumując w myśl filozoficznej teleologii nietylko powiemy z prelegentem, że drzewa na to były powołane do życia, by ziemię upiększyć, że sosna za to, iż ma cieńsze od innych drzew liście, (igły) na zimę nie zrzuca swej zielonej szaty *), ale nawet, że drzewa na to żyją, by od czasu do czasu dostarczać tematu do prelekcyi.

*) Biedny modrzew! On ma liście i cienkie, i krótkie, i miękie, i opadające. Co za niesprawiedliwość! No, ale za to go ścinano i budowano kościoły i dworki szlacheckie.

Dlaczego wszystkie te powyżej wyszczególnione wady tak raziły w odczycie p. J., że w końcu każdy poważniej myślący człowiek wyniósł z sali nieprzyjemne wrażenie? Oto dlatego, że temat był treści przyrodniczej, t. j. należał do tego zakresu wiedzy, który pośród innych, szczęśliwszych społeczeństw znajduje silne poparcie pomiędzy ogółem, liczy wielu zwolenników, jest niezbędną częścią wykształcenia większości. A u nas? U nas jest bezporównania i pod tym względem gorzej: ogół mniej daleko jest obeznanym z przyrodą, bo niema środków, a może i chęci po temu, bo pod każdym względem stoi niżej w stopniu swego wykształcenia. Każdą więc sposobność trzebaby wyzyskać na nauczenie, wyjaśnienie, rozwinięcie w kierunku pojmowania przyrody. Potrzeba w popularnej formie zapoznawać jak można najczęściej z temi świeżemi wynikami badań, którymi się może Zachód poszczycić. A sposobności po temu u nas zbyt mało, by choć jedną wolno było bez znacznej straty pominąć lekkomyślnie lub niedbale. A w jaki sposób w popularnej formie podać dużo treści, uczmy się tego z odczytów głośnych znakomitości spółczesnych, jak Tyndall, Büchner, Haeckel, Vogt, Huxley itp. itp., wreszcie cały szereg francuskich uczonych, którzy są jakoby specyalnie obdarzeni zdolnością popularyzowania.

Gdyby prelegent kierował się chęcią nauczenia, byłby więcej rozwinął takie wdzięczne tematy, jak np. naturalny płodozmian drzew, walka o byt śród nich, znaczenie drzew w ekonomii przyrody, nagromadzanie siły w stanie energii napiętej, nie załatwiłby się tak kategorycznie i doraźnie z kwestyą wpływu drzew na klimat, bo do tego nie upoważniłoby go obecne stanowisko jej w nauce.

Wł. Gr.

II.

O granicach wiedzy.

(Kozietulski).

Przemówienie prelegenta składało się z dwóch części: właściwego odczytu i kazania. Zadaniem pierwszego było — podkopać w umysłach słuchaczów powagę materyalizmu, drugie — starało się zmiękczyć serca tych, których wywody naukowe przekonać nie mogły.

Powołując się na artykuł z pierwszych numerów zeszłorocznej *Prawdy*, oświadczył p. K. iż w sprawie rozstrzygania podstawowych zagadnień bytu nieoględni uczniowie doktryn materyalistycznych poszli znacznie dalej od swoich mistrzów, gdy tymczasem należy powstrzymywać się z wygłaszaniem teoryj, które nietylko „podkopują najdroższe ideały nasze.“ ale i nie wytrzymują krytyki naukowej. Odczytowa jej próbka, odznaczająca się rozpaczliwą banalnością, wypowiedziała nadto walkę ścisłej logice. O tem, że *istota* zjawisk na zawsze a przynajmniej na bardzo długo pozostanie dla nas tajemnicą — wiemy już wszyscy. Natomiast nie może materyalizm ukorzyć się wobec takich np. argumentów, jak ten, którym prelegent starał się dowieść zasadniczej różnicy pomiędzy siłą inteligencyi i siłą mięśni. „Drwal rąbiąc drzewo, traci bezpowrotnie pewną ilość siły; tymczasem profesor, nauczywszy swoich słuchaczów tego lub owego, pozostaje nadal z całą swą wiedzą.“ Błąd tkwi w niestosowności porównania.

Inteligencya—biorąc tę rzecz porównawczo—wcale nie odpowiada *sile mięśni*, którą tracimy bezpowrotnie; odpowiada ona *skurczliwości* włókien, *zdolności ich do kurczenia się*, pod działaniem nerwów. Zdolności tej nie tracą mięśnie drwala tak samo, jak mózg profesora nie pozbywa się swej umysłowej zawartości. Podobieństwo będzie bardziej rażącem, gdy przypomnimy sobie, że: 1) ćwiczenie w obu wypadkach zwiększa zdolność obu tkanek; 2) nadmierna praca któregokolwiek z nich sprowadza częściowy lub zupełny zanik *zdolności*.

Mówiąc o granicach badań w rozmaitych gałęziach wiedzy, prelegent oznaczył je albo niewyraźnie, albo błędnie. W matematyce—wobec rozwijającej się teoryi wymiaru czwartego—rzecz o ilościach nieskończenie małych nie jest wcale granicą poznania. Wyobrazić nie możemy sobie

nietylko ciała *nieskończenie* małego, lecz i takiego nawet, któreby było np. 1000 razy mniejsze od ziarnka maku; ale *uzmysłowienie* przedmiotu nie jest jego *pojęciem*. Że w dziedzinie nieskończoności (małej lub wielkiej) umysł nasz swobodnie poruszać się może, że nie jest ona ostateczną granicą naszych badań matematycznych najlepszym dowodem tego są teorye na jej podstawach zbudowane (rachunek różniczkowy itp.),

Co do chemii, to nie myślała ona dotychczas zrzekać się nadziei wyświetlenia tajemnicy powstających związków organicznych. Do jakich granic dojdzie przy jej pomocy biologia—również przewidzieć niepodobna. Zwątpienie więc prelegenta było zbytecznem i przedwczesnem.

Słuchając odczytu, zdawało się, iż p. K. dołożył wszelkich starań, aby rzecz swoją uczynić jak najmniej dostępną. Nie tyle ścisłość naukowa, ile napuszona terminologia sprawiły, iż trzy czwarte słuchaczów zrozumieć odczytu nie mogły, Nietylko młodzież gimnazyalna i kobiety, nietylko mężczyźni o średniem wykształceniu naukowem, ale nawet skończeni prawnicy, filologowie trudnościom wykładu nie podołali. Takie wyrazy, jak: *molekuła*, *cząsteczkowa granulacya* nie mogły wejść do głów nieprzygotowanych. Uniknąć szkopułów było bardzo łatwo, albo opuszczając rzeczy zbyt trudne, albo też dodając kilka słów wyjaśnienia; prelegent jednak tak się uwziął na nieszczęśliwe audytoryum, że nawet zasady najpopularniejsze frazeologią naukową zaciemnił. Oto przykład: „Z przyczyny, iż ciała rozszerzają się pod wpływem ciepła... przyszli uczeni do wniosku o istnieniu atomów.“ Rozszerzalność ciał jest wynikiem budowy cząsteczkowej i służy za jej dowód; ale umysł nieprzygotowany na poczekaniu nie może zrozumieć wzajemnego stosunku tych dwu zjawisk natury. Należało lepiej przytoczyć klasyczne, plastycznością swą olśniewające doświadczenia akademików florentyńskich — ze złotą kulą. Jeszcze jedno. „Nie wiadomo, czy węgiel w związkach się zmienia, czy też pozostaje bez zmiany; jak to zwłaszcza przypuszczają uczeni *w odniesieniu do ostatnich granic atomowej podzielności...*“ Pytam, czy znalazło się w sali Ratusza 10 osób, coby zdanie to zrozumiały dokładnie? A jednak nie zawiera ono w sobie rzeczy najtrudniejszych.

Z tem wszystkiem nie można odmówić prelegentowi zapału i kwiecistości języka. Ten ostatni oprowadzał nas po „ścieżkach cnoty,“ „pustyniach niewiary“ i „lasach dowodów.“ Żałować wypada, iż w jednym z takich lasów nie zginął i sam prelegent, ale przed odczytem. Byłoby to uwolniło słuchaczów od przymusowej obecności na niemieckiem kazaniu, a ze społeczeństwa naszego zdjęło zarzut, iż z jedynej ogółowi dostępnej katedry rozlegają się tylko bezsilne żale i niepoczciwe insynuacye na tych, którzy „pragną apoteozować *zwierzęcą* walkę o byt.“ Dość by już było tej kruchty! Czyż najnowsze wyniki badań naukowych spotykać w nas będą zawsze rozszlochanych dewotów?

I. K. Potocki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Warszawskij Dniewnik ogłasza, że Bractwo Bogorodzicy w Chełmie wydało broszurę po rosyjsku i polsku p. t. *Kilka słów kościoła wschodnio-katolickiego do rzymsko-katolickiego*, oraz że zamierza takie broszury wydawać częściej, gdyż nawróceni unici nie dość jeszcze umieją po rosyjsku.

— Tuż pismo donosi, że dotkliwy brak w Warszawie adwokatów rosyjskich będzie usunięty przez wejście do tej korporacyi pp. Zwiezdoczotowa i Sztengera, b. sędziego śledczego do szczególnych poruczeń. „Tym sposobem—mówi *Dniewnik* — adwokatura miejscowa odświeży się osobistościami, które dzięki swej narodowości nie mają interesu popisywać się w sądzie dla zadowolenia publiczności a ze szkodą spraw“

Sprawa Kraszewskiego. Petersburskie *Nowosti* podały nieco odmienny od gazet niemieckich akt oskarżenia w sprawie Kraszewskiego, bo obwiniający go o zdradę stanu nietylko na korzyść Francyi. Ponieważ może to być zwykła, a dla człowieka, którego winniśmy oszczędzać, bardzo przykra improwizacya dziennikarska, więc jej nie podajemy.

Z prasy. W Peszcie ma powstać pismo polskie p. t. *Światło*; będzie to zwykłe tłomaczenie węgierskiego organu miejscowych spirytystów.

Ograniczenie. *Praw. Wiestnik* ogłasza rozporządzenie, na mocy którego do Instytutu dróg i komunikacyj przyjmowani będą studenci w pewnym procentowym stosunku z każdego okręgu naukowego. Z petersburskiego 30%, z moskiewskiego 25%, a z innych, w tej liczbie i z warszawskiego, po 5%.

Litografowanie kursów uniwersyteckich ma być na przyszłość dozwolonem tylko pod warunkiem, że będą redagowane przez samych profesorów i wydawane pod osobistą ich odpowiedzialnością. Kursy takie mogą być sprzedawane w księgarniach na równi z innemi książkami.

Stacya doświadczalna chemiczno-technologiczna otwartą została przy redakcyi *Inżenieryi i budownictwa*, której zadaniem będzie dokonywanie analizy nadsyłanych próbek dla umożliwienia ziemianom i przemysłowcom szerszej eksploatacyi bogactw kopalnych.

Biblioteki Wydane zostały nowe przepisy o bibliotekach i czytelniach publicznych. Właściciele ich przy podaniu o pozwolenie otwarcia winni wskazać, kto będzie zarządzającym. Władze mają prawo w razie wątpienia o prawomyślności politycznej usuwać od obowiązku zarządzających i oficyalistów. Minister spraw wewnętrznych przesyłać ma spis książek w bibliotekach nietolerowanych i w razie potrzeby zamykać te zakłady.

Konkurs. Komitet pomnika Adama Mickiewicza ogłasza warunki konkursu dla *polskich* rzeźbiarzy. Pomnik stanąć ma na Rynku w Krakowie w środku, powinien zachować charakter stylu odrodzenia, z użyciem granitu na części architektoniczne i bronzu na główną figurę Koszta jego nie mogą przenosić sumy 125 tys. guldenów. Projekty mają być wykonane w gipsie w $1/_{10}$ rzeczywistej wielkości. Terminem ostatecznym jest dzień 31 grudnia 1884. Do składu sędziów, których imiona będą później ogłoszone, zaproszeni zostaną dwaj znakomici rzeźbiarze zagraniczni. Pierwsza nagroda wynosi 3000 guldenów, druga—1500, trzecia—1000. Modele zaopatrzone godłami z dołączeniem zapieczętowanych kopert z nazwiskiem autora powinny być przesyłane do prezydyum rady m. Krakowa.

Zapis. Pewna obywatelka, która zastrzegła sobie, żeby nazwisko jej pozostało niewiadomem aż do śmierci, uczyniła zapis, wynoszący 170,000 rs. Z tego 30,000 rs. na stypendya dla studentów i uczniów gimnazyum, 10,000 dla Akademii umiejętności w Krakowie, z procentów od tego funduszu mają być corocznie udzielane nagrody raz za dzieło historyczne, drugi raz za najlepszy utwór literacki, bez rozpisywania konkursów. 10,000 na uniwersytet dla kobiet w Warszawie, a jeżeli ten w ciągu lat 10 od śmierci testatorki nie zostanie otwarty na stypendya dla studentek kształcących się zagranicą, 25,000 na wydawnictwa ludowe i 15.000 dla chorych pracujących naukowo do rozporządzenia Kasy im. Mianowskiego, 20,000 na szpitale, 40·000 dla Towarzystwa dobroczynności, 10.000 na zakład Magdalenek i 10.000 rs. na rzecz starych i niezdolnych do pracy sług.

Czytelnia akademicka w Krakowie ma podobno być zamkniętą. Urzędowy jej kurator prof. Smolka zrzekł się swej godności, ponieważ wygłaszane przez studentów opinie sprzeciwiają się jego wiernopoddańczym dla dynastyi Habsburgów uczuciom a w czytelni panuje kierunek, którego on uznać nie może. Sprawa cała zaczęła się z bardzo niewinnego powodu, odczytu o kosmopolityzmie. Doprawdy, p. Smolka coraz bardziej smoli imię swego ojca.

Cło na wyroby z drzewa podwyższone zostało w czwórnasób, skutkiem petycyj od drobnych przemysłowców.

Projekt umundurowania studentów w uniwersytetach rosyjskich odrzucony został przez Radę państwa.

Zarząd dróg południowo - zachodnich wyznaczył 250.000 rs, na zaliczki dla kupców i przemysłowców, wysyłających zboże kolejami i Dniestrem do Odesy.

Proces Schenka i dwóch jego wspólników skończył się. Wszyscy trzej skazani zostali na karę śmierci. Główny oskarżony zachował podczas całej sprawy wesołe usposobienie i w cyniczny sposób drwił sobie z sądu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. X. Gdybyś sz. Pan czytywał pismo nasze od początku, nie sądziłbyś, że wzmianka o jubileuszu p. Słonimskiego „wkradła się do *Prawdy* bez wiedzy redaktora.“ Oddawna bowiem i stale głosimy tę naszą wiarę, że krzewienie oświaty śród izraelitów w gwarze żydowskiej lub języku hebrajskim, podnosząc ich wiedzę, jednocześnie podtrzymuje a nawet umacnia ich separatyzm. Tego rodzaju działalność może być w celach swoich najzacniejszą, tem niemniej jest, według nas, w najlepszym razie bezskuteczną, a w najgorszym—szkodliwą. Kwestyi to bynajmniej w duchu pańskim nie rozstrzyga, że p. Słonimski cieszył się uznaniem nieboszczyka Baranowskiego i Humboldta, oraz że redagowane przez niego pismo ma abonentów w Bagdadzie, Kapstadzie i Marocco, gdyż Baranowski nie był socyologiem, Humboldt—nie był polakiem, a prenumerata *Hacefira* w Azyi i Afryce przekonywa tylko, że jest to organ *plemienia* żydowskiego, a nie żydów polskich. Bez zamiaru więc dotknięcia „zniewagą i dotkliwą obrazą“ p. Słonimskiego i uznając jego dobrą wiarą ożywione trudy w kierunku popularyzowania nauk po hebrajsku, mieliśmy zupełną podstawę zauważyć, że *nasz ogół* nie jest obowiązany do szczególnej dla niego wdzięczności. Nie czulibyśmy jej również np. dla najzacniejszego i najmędrszego niemca, któryby w Warszawie wydawał pismo niemieckie i książeczki popularno-naukowe. Niewiary naszej w połączenie żydów ze społeczeństwem chrześciańskiem za pomocą hebrajszczyzny, która nie jest nawet obecnie ich mową macierzystą i której z trudem uczyć się muszą, niewiary tej nie podziela wielu światłych przewodników izraelskich, dotąd wszakże nie zdołały w nas jej osłabić zwykle przytaczane argumenty.

L. Kos. Protest pański jest nietylko jedynym, ale nawet przez nas nieoczekiwanym. Więc mniej zajęcia budzi ciekawa opowieść nieznanych dotąd szczegółów życia wielkiego i niezmiernie wpływowego poety, niż powszednie dzieje zmyślonego bohatera nowelli? Zresztą strapienie pańskie kończy się w obecnym numerze.

P. Z. S. we Lwowie. Rozprawa wyszła w piśmie duńskiem i w duńskiem naprzód pojawił się zarzut plagiatu. Potem przeszedł do wielu niemieckich, francuskich itd. W obronie wystąpił prof. Geiger.

P. Andrzejowi Sz. w Petersburgu. Nabyć można w Warszawie (księgarnia Polaka) bez przesyłki k. 75.

P. J. K Cóż my poradzimy na to, że w podręcznikach pp. Malinina i Krajewicza sprawa skroplenia wodoru przedstawiona jest błędnie? Autorowie może sądzili, że zanim ich książki w świat wyjdą, doświadczenia będą już ukończone.

P. M. B. w Płocku. Wydanie takiego katalogu przedstawia większe trudności, niż z pozoru sądzić można i dlatego też się opóźniamy. Co do logiki — Baina po polsku; ekonomii politycznej według naszego przekonania dobrej nie ma. Od 1 lipca zaczniemy drukować naszą.

Sprostowanie. W nrze 11 *Prawdy* str. 125, sz. 1 w. 13 od góry zamiast cudownej czyt. *cudackiej*; str. taż, szp. 3, w. 30 od dołu zamiast Harpack czytaj *Harnack*.

Ogłoszenia.

SZKICE KLINA

Część druga

Zeszyt 1: I. U drogowskazu.
„ 2i3: II. Po Europie.
„ 4: III. Przedesnem
„ 5: IV. Żołądek i mózg.
V. Z trylogii życia.

Każdy zeszyt sprzedaje się osobno po kop. 35.

We wszystkich księgarniach w Warszawie.

Skład główny w księgarni **Ludwika Polaka**. 3—3

Wydawnictwo S. Lewentala w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 39.

Z dniem 1 Kwietnia r. b zacznie wychodzić pod kierunkiem literackim

P. Maryi Konopnickiej

i przy współudziale najznakomitszych literatek i literatów polskich

Pismo Tygodniowe Illustrowane dla kobiet

p. t.:

ŚWIT

wraz z dodatkiem wzorów robót i ubiorów kobiecych.

Na drodze trudnej, na którą wstępujemy, potrzebne nam jest życzliwe poparcie kobiet polskich. O nie też upraszamy gorąco, zapewniając, że ze swej strony zrobimy wszystko, aby **Świt** stał się wyobrazicielem idealnych dążności wieku naszego, do ziszczenia a wcielenia w życie tego co dobre, piękne, sprawiedliwe.

Świt wychodzić będzie co tydzień, we Wtorek, w objętości dwóch wielkich arkuszy, w formacie i na papierze większych naszych illustracyj. Jeden arkusz o 8 kolumnach poświęcony będzie literaturze, nauce i sztuce; drugi zaś, o tyluż stronicach, gospodarstwu domowemu, kuchni i modom. Prócz tego dołączane będą tablice kroju i mody kolorowane bez żadnych oddzielnych dopłat. Mody oraz wzory robót zamieszczane w najznakomitszym dzienniku modnym, wychodzącym w Paryżu p. t.:

REVUE DE LA MODE

jedynie ze wszystkich pism polskich **Świt** podawać będzie.

Cena prenumeraty wynosi w **Warszawie**: rocznie rs. **7** kop. **20**, półrocznie rs. **3** kop. **60**, kwartalnie rs. **1** kop. **80**, miesięcznie kop. **60**.

W **Królestwie i Cesarstwie** wraz z przesyłką pocztową: rocznie rs. **10**, półrocznie rs. **5**, kwartalnie rs. **2** kop. **50**.

Prenumerować można u Wydawcy, Nowy-Świat Nr. 39, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach. Prospekta na żądanie wysyłają się bezpłatnie.

S. LEWENTAL.

5—6

Rok 19. Wydawnictwo S. Lewentala, Warszawa, Nowy-Świat Nr. 39.

Najobszerniejsza illustracya polska.

Jako premium, po zniżonej cenie, Tanie zbiorowe wydanie powieści E. Orzeszkowej.

KŁOSY

Czasopismo tygodniowe ilustrowane

poświęcone

literaturze, nauce, sztuce i polityce

wychodzą raz na tydzień:

w Czwartek, w objętości dwóch i pół wielkich arkuszy, wieloma ilustracyami ozdobionych.

Cena w Warszawie rocznie **rs. 8.**
W Cesarstwie i na prowincyi w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową rs. **12.**

Prenumeratę składać także można i w ratach półrocznych lub kwartalnych.

W tym roku rozpoczęliśmy druk samych nowych prac; z powieści drukujemy:
J. I. Kraszewskiego **PSIA WIARA,**
Danilewskiego **KSIĘŻNICZKA TARAKANÓWNA.**

Kompleta, od Nowego Roku począwszy, znajdują się na składzie.

Najznakomitsi pisarze i artyści polscy są stałymi współpracownikami „Kłosów."

52 Numera rocznie, wraz z oddzielnym dodatkiem powieściowym w formacie książki

---

JAN KOCHANOWSKI

w świetle własnych utworów.

WIZERUNEK LITERACKI

przez

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO.

Cena **1 rs.** Do nabycia we wszystkich księgarniach. 1—3

„ECHO MUZYCZNE I TEATRALNE"

jedyny organ polski, poświęcony wszystkim działom sztuki, wychodzi raz na tydzień, co sobotę z dwutygodniowym bezpłatnym dodatkiem nut. Zamieszcza prace pisarzy wsławionych na polu estetyki, krytyki, historyi, belletrystyki i poezyi; obok wybitnych sił polskich posługuje się znakomitymi pisarzami zagranicznemi nadsyłającemi wyłącznie do ECHA prace swe w oryginale, niemniej daje utwory muzyczne krajowych i europejskich kompozytorów.

ECHO daje rocznie 80 arkuszy tekstu, 60 arkuszy nut oraz liczne ilustracye. Portretuje pisarzy, muzyków oraz artystów wsławionych na polu swej działalności, lub też zajmujących w danej chwili uwagę ogółu, niemniej illustruje grupy sceniczne i daje inne produkcye sztuki.

W nadchodzącym kwartale II oprócz innych prac, zamieści nowelle: *Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa*, „Na stypie" nową komedyę Józefa Blizińskiego, *oraz niedrukowaną nigdzie powieść* **Juliusza Słowackiego.** Z kompozycyi zaś muzycznych: utwory Gounoda, Moniuszki (pośmiertne) Massenet'a, Wieniawskiego, Paderewskiego, Jareckiego i innych.

Cena prenumeraty kwartalnie rs. 2 z przesyłką rs. 2 kop. 50.

Przytem Redakcya zawiadamia, że ulegając licznym życzeniom, weszła w umowę z drezdeńską firmą Römmler & Jonas, w skutek której jest w możności **udzielać bezpłatnie** *prenumeratorom wnoszącym przedpłatę za kwartał II, III i IV, album fotodrukowe złożone z 6 wielkiego (poczwórno-gabinetowego) formatu portretów: Heleny Modrzejewskiej, Adelliny Patti, Henryka Sienkiewicza, Aloizego Żółkowskiego, Edwarda Paillerona i Arigo Boito.*

Adres Redakcyi: **Warszawa Senatorska 18.**

Najnowsza Metoda

do nauki języka angielskiego w 24 lekcyach bez nauczyciela, obejmująca objaśnienie wymowy każdego wyrazu, przez Pl. REUSSNERA, kop. 75 (z przesyłką kop. 85).

Do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa, tudzież i u autora przy ul. Chmielnej № 6 w Warszawie.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego. Seryi I tom I: **Początki arytmetyki** *M. Berkmana;* cena kop. 65. Seryi I, tomy II i III: **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka;* cena kop. 30 i 45. Seryi III, tom II: **Arytmetyka**, kurs teoretyczny, *M. A. Baranieckiego;* cena rs. 1 kop. 70. Seryi IV, tom IV: **Geometrya analityczna** *W. Zajączkowskiego;* cena rs. 3. 4—10

Skutkiem rozwiązania się Spółki Nakładowej część jej wydawnictw, mianowicie utwory Okońskiego przeszła na własność Redakcyi **Prawdy**, w której kantorze oraz za pośrednictwem znaczniejszych księgarń nabywać można:

W. Okoński (A. Świętochowski). **Dramata** (Antea, Na targu, Helvia, Błazen, Poddanka, Za maską) rs. 1.
— **O życie** (powiastki: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug) kop. 50.

Nadto:

W. Okoński **Klemens Boruta** powiastka, k. 30.
— **Ojciec Makary** dramat w 3 aktach k. 60.

A. Świętochowski **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 kop. 50.

9—10

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Марта 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.